

Dziś w numerze: ● J. WILMAŃSKI *Mój Aleksandrów* ● *Przyroda faworyzuje kobiety* ● E. IWANICKI *Zmowa obojętnych* ● *W lutym ślub, w grudniu rozwód* ● *Psychologia na wojnie*

odgłosy



76 (595)
30. III. 1969 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII



**Międzynarodowy
Dzień Teatru**

TERESA WOJCIECHOWSKA

TEATR -choroba dziedziczna

Jak ten czas! Iecl! Aniśmy się spostrzegli jak na scenach Polski pojawiły się znane, popularne nazwiska aktorów, a za nimi młodzi nieznanymi ludźmi: Wollejko, Dymśza, Machowski, Skarżanka i inni. To już drugie pokolenie aktorów, aktorskie dzieci. Wstępując na scenę podjęły tradycje rodzinne, ale podjęły też ryzyko. Bo przejmując wraz z nazwiskiem kredyt zaufania publiczności, wypracowany w ciągu wielu lat przez rodziców, muszą się liczyć z tym, że będą z nimi porównywane, że ich talent będzie porównywany z talentem rodziców. A więc podjęły także ryzyko odpowiedzialności za godność, za rangę nazwiska, które noszą. Myślę, że zdają sobie z tego sprawę.

Mamy i w Łodzi aktorską młodzież drugiego pokolenia. Jedni już wstąpili na scenę, inni jeszcze studiują. Są młodzi, pełni entuzjazmu, pragną grać, odnosić sukcesy. Na pewno kochają swój zawód, bo skoro zdecydowali się, oglądając jego blaski i cienie z bliska, na przykładzie rodziców, to muszą go kochać. I to zapewne powiedzieliby nam, gdybyśmy ich o to zapytali. Ale jak patrzą na tę kontynuację zawodu rodzice? Czy są zadowoleni z kierunku obranego przez dzieci? Czy tak widzieli ich przyszłość?

Ewa Zukowska jest córką Marii Kozierskiej i Feliksa Zukowskiego. W ubiegłym roku z odznaczeniem skończyła studia aktorskie i ten sezon jest jej pierwszym w życiu sezonem teatralnym. Została zaangażowana do Teatru Narodowego w Warszawie, zadebiutowała tam Klarą w „Słubach panińskich”, gra też w „Kramie z piosenkami”, oglądaliśmy ją już w przedstawieniach telewizyjnych. A więc start zna komity. Co na to rodzice? Czy Feliks Zukowski chciał, by córka została aktorką? — Przenigdy. Nie chciałem dla mojej jedynaczki tak trudnego życia. Bo aktorstwo to przecież bardzo trudny zawód,

IRENA DRYLL

LISTY ze wsi wiesi z listów...

Krysiu!

Przeczytałam wszystkie 35 listów jakie w ciągu roku napisały Twoje siostry do Ciebie, do Łodzi. I — postanowiłam na własne oczy zobaczyć tę wiesi z listów. Dziebałtów? Dlaczego akurat Dziebałtów — pytało mnie wiele osób; niektórzy, znający Kielecczynę, podsuwali wsie atrakcyjniejsze, godniejsze opisu. Nie wiedzieli

przecież, bo skąd, że Dziebałtów nie jest dla mnie wioską, jak inne. Ze patrzę na nią oczyma Twoich sióstr — Jadzi-Smieszki, co ma lat 15, Zosi starszej o dwa lata, no i Twoimi, Krysiu, co masz lat 19.
KWIECIEŃ 1968: — pisze Zosia.

„U nas na wsi jest już bardzo ładnie i wesoło. — Drzewa już kwitną. Wszędzie gdzie tylko spojrzeć jest biało i pachnie. Krysiu, dziadek Bożenki już umarł w sobotę. A w poniedziałek po południu go chowali. Wyrwał sobie już zęby czy jeszcze nie! Co sobie kupisz za ten miesiąc? Czy sobie kupisz zegarek, czy nam co pieniędzy przyslesz. Bo nam ma teraz stolarz robić łóżka. Będą kosztować 1600 złotych, to skąd tyle tata weźmie!”

Wsiadłam więc o 11-tej w pośpieszny do Kielc. Około 14-tej byłam w Końskich, stolicy powiatu. Jedna z 24 takich stolic w woj. kieleckim. Mniej sławna niż Jędrzejów, Busko czy Radom. Ale stolica z przeszłością i przyszłością. Jest tu wspaniały park „po hrabiach Tarnowskich”, świątynia grecka przeobrażona w Dom Kultury, szeroka aleja dla powozów wiekowych

drzewami wysadzona; wiedzie dziś wprost przed oblicze władzy ludowej. W byleży stajni hrabię mieści się Prezydium PRN. W miejscu, gdzie kiedyś stał żłób, stoi eleganckie biurko przewodniczącego mgr T. Kusowskiego. Wypiękniła nam, wysubtelniała władza powiatowa. Ale walczy twardo. Głównie o przemysł. Po latach walki są już w Końskich: Zakłady Odlewnicze — 2.000 zatrudnionych, Zakłady Metalurgiczne — zatrudniające 1.100 osób, a w perspektywie — 3.200 osób, Spółdzielnia „Młot”, „Wiklina”, Przedsiębiorstwo Złomu. Kształtuje się specyficzna klasa pracujących w przemyśle — rolniczo-robotnicza, dojeżdżająca, dowożona PKS-ami, które w określonych porach zmieniają nazwę na „samochody robotnicze”. Ponad 2.000 mężczyzn z okolicznych wiosek, w tym wielu z Dziebałtowa, do którego zaraz po wizycie u przewodniczącego, w samo południe zajechałam, przemienia się w cią-

Dalszy ciąg na str. 3

Dalszy ciąg na str. 3



Posiedzenie Doradczego Komitetu Politycznego Państw — Stron Układu Warszawskiego w Budapeszcie było krótkie, lecz bardzo owocne. Najwyższe delegacje 7 państw i rządów krajów socjalistycznych jednomyślnie poapisały doniosły dokument — Apel do wszystkich krajów europejskich. Komentując ten apel AFP pisała, że jak reitren powtarzają się w nim trzy słowa: Europa — odprężenie — współistnienie. Francuski komentator ma rację — apel wzywa Europę do odprężenia i współistnienia. Siedem socjalistycznych krajów — w celu praktycznej realizacji tej idei — wysunęło propozycję spotkania w najbliższym czasie przedstawicieli wszystkich zainteresowanych państw. W czasie tego spotkania ustalono by tryb zwołania europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa.

Myśl zwołania konferencji państwa — strony Układu Warszawskiego wysunęły przed blisko trzema laty. Propozycja, którą wówczas obwieszczone z Bukaresztu, nie spotkała się ze sprzeciwem żadnego z rządów. W ciągu całego okresu powojennego ani razu wszystkie państwa Europy, a jest ich ponad 30, nie dyskutowały wspólnie. A przecież liczne problemy, żywo interesujące wszystkie kraje, czekają na rozpatrzenie przy konferencyjnym stole. Wobec trwałego wysiłku zbrojeń, mogącego prowadzić do niebezpiecznej konfrontacji wojennej, jedyną realną alternatywą jest współpraca ogólnoeuropejska. Apel podkreśla, że „jeśli za punkt wyjścia przyjmuje się utrwalenie pokoju, nie ma żadnych ważnych przyczyn zwlekania ze zwołaniem europejskiej konferencji”. Można powiedzieć nawet więcej — istnieje pilna potrzeba wspólnego poszukiwania dróg, zmierzających do zniesienia podziału naszego kontynentu na ugrupowania wojskowe. Wizja Europy pokojowej i współpracującej jest realna.

Podstawowym elementem zapewnienia europejskiego bezpieczeństwa jest uznanie powojennego status quo — obecnych granic — w tym także na Odrze i Nysie, taktu, że istnieje dwa państwa niemieckie i że Berlin zachodni nie jest częścią NRF, lecz posiada odrębny status.

„Państwa uczestniczące w naradzie — czytamy w apelu — uważają za swój obowiązek nadal czynić wszystko, co jest w ich mocy, aby uchronić Europę przed niebezpieczeństwem nowych konfliktów zbrojnych”.

Z tego zobowiązania i odpowiedzialności wypływa wezwanie do wszystkich państw europejskich o stworzenie klimatu zaufania, powstrzymanie się od wszelkich działań zatruwających atmosferę między państwami i przejście od deklaracji o pokoju — do działania w tym kierunku.

Znaczenia apelu nie trzeba udowadniać. Świadczą o nim chociażby prawdziwa powódź komentarzy prasowych. Budapeszteńska konferencja i jej apel znalazły się na czołówkach europejskich gazet i w centrum zainteresowania kół politycznych.

Cześć prasy zachodniej nie ukrywa... zaskoczenia. Z istniejącymi różnicami poglądów wśród krajów socjalistycznych wobec niektórych problemów sytuacji międzynarodowej i dróg socjalistycznego budownictwa wiązano na Zachodzie określone nadzieje. Tych, którzy spekulowali na tych różnicach, spotkał srogi zawód. Apel opracowany został przez siedem państw i przyjęty jednomyślnie. Równie jednomyślnie zatwierdzono zmiany w strukturze organizacji wojskowej Układu Warszawskiego. Zmiany te mają na celu dostosowanie naszej wspólnej organizacji obronnej do nowych wymogów, usprawniając system kierowania zjednoczonymi siłami zbrojnymi.

Konferencja budapeszteńska jeszcze raz udowodniła więc, że wobec tak istotnych zagadnień, jak pokój i bezpieczeństwo siedem krajów socjalistycznych zachowuje jednakowe poglądy.

Apel niemal zbiegł się w czasie z podjęciem w Genewie — po 7-miesięcznej przerwie, — prac przez Komitet Rozbrojeniowy. Na porządku dziennym konferencji znajdują się trzy zakazy: przeprowadzania podziemnych prób z bronią nuklearną, produkcji i stosowania broni chemicznej i bakteriologicznej oraz instalowania na dnie mórz i oceanów broni nuklearnej i broni wojskowych.

Do uczestników konferencji wystosował list sekretarz generalny NZ — U Thant. Zachęcając do podjęcia skutecznych kroków w celu zahamowania wyścigu zbrojeń przypominał on, że roczne wydatki na ten cel wzrosły w ciągu ostatnich 6 lat o ponad 30 proc. i sięgają obecnie 180 mld dolarów, a tempo ich wzrostu jest wyższe niż wzrostu produktu globalnego brutto.

Genewska konferencja zwraca uwagę nie tylko swoim porządkiem dziennym, ale także dlatego, iż będzie „papierkiem lakmusowym” rzeczywistych zamierzeń nowej administracji USA. Mówi się o niej z ostrożnym optymizmem, wskazując przede wszystkim na możliwość doprowadzenia do zrealizowania radzieckiego projektu militarnego zneutralizowania dna mórz i oceanów.

Do optymizmu skłania także fakt, że mimo wszelkich trudności i przeszkód pod układem o nierozpowszechnianiu broni jądrowej figuruje już ponad 80 podpisów. Jest to dobra zachęta do uczynienia dalszych kroków w dziedzinie rozbrojenia.

Atmosfera obrad zatruwa jednak decyzja Nixon'a o budowie ograniczonego wprowadzie, ale utrzymującego tendencję do rozwoju zbrojeń, systemu antyrakietowego w USA.

W. SŁAWSKI

LISTY do REDAKCJI

MODA NA ZELÓW

Od pewnego czasu nastąpiła „moda” na pisanie o Zelowie. Ze artykuły i reportaże takie ukazują się w pismach łódzkich — nie dziwnego. Ale wiem, że pisano o Zelowie również w innych dziennikach i czasopismach, jak „Głos Pracy”, „Panorama Północy”, „Światowid” i in. Jeśli pisano, to na pewno dlatego, że Zelów „nie jest zwykłym miastem”. A pisano różnie — lepiej i gorzej, prawdziwiej i mniej prawdziwie. Wydaje mi się jednak, że jakimś wspólnym mianownikiem publikacji była i jest powierzchowność — ślizganie się wśród tego, co zewnętrzne oraz wśród niezagłębionych przez autorów zagadnień historycznych i historyczno-kościelnych, którym Zelów swoją „inność” od pozostałych tej miary miasteczek polskich zawdzięcza. Zelów istotnie nie jest zwykłym miastem przede wszystkim dlatego, że tu, w samym sercu Polski, znaleźli sobie przytulisko, założyli osadę i mieszkają do dziś potomkowie Braci Czeskich. A historia to niezwykle interesująca, oczywiście, jeśli potraktuje się ją głęboko.

Nie jest trudno dotrzeć do dokumentów, mówiących o początkach Zelowa, z którego wynika, że „ów człowiek w świecie bywały” nie nazywał się Piotr de Korwin Zelin, lecz Aleksander de Korwin Petroselin — polski szlachcic, który nie zakuł Zelowa, lecz pośredniczył w kupnie pomiędzy Cze-

chami zamieszkałymi wówczas w okolicach Kępna i Namysłowa — z jednej strony, a właścicielem tutejszych posiadłości, Józefem Świdzińskim — z drugiej strony. Skąd się ten Piotr Zelin zamiast Aleksandra Petroselina wziął? O ile pamiętam, czytałem kiedyś coś takiego w „Głosie Robotniczym”, przy czym autor od owego Zelina wywodził nazwę Zelów, co jest wierutnym głupstwem, gdyż Zelow został zakupiony jako Zelow, co niedwuznacznie wynika z istniejących dokumentów.

Kolonści czescy nie na sądzie przypadku zasłynęli jako najlepsi w okolicy płociennicy. Wiadomo bowiem, dzięki badaniom prowadzonym w Czechosłowacji, że w północno-zachodnich Czechach, skąd właśnie pochodzili emigranci czescy, istniało niegdyś rozwinięte chałupnicze rzemiosło tkackie.

Dlaczego tutejsi Czesi zostali określani jako „wojownicy”? Jestem świadom tego, że są bardzo przywiązani do swej narodowości i do przeszłości czesko-braterskiej oraz do Husowej tradycji. Ale wojowniczy? Nie mogę się z tym zgodzić. Przecież nie ich wojowniczość spowodowała, że w 1945 roku przytłaczająca większość wóci do kraju ich przodków. Skomplikowane to było zagadnienie i różne przyczyny wpłynęły na ów owczy pęd powrotów do Czechosłowacji, ale przecież niepoślednią rolę odegrała ówczesna „wojowniczość”, z którą się tutaj zetknęli.

Wydaje mi się, że autorzy reportaży o Zelowie, zaprawiani ową „innością” Zelowa, zapominają o wnikliwym w rozmaite dzisiejsze problemy małego miasteczka, któremu niałatwo tworzyć swoje życie, m. in. dla tego, że „miasteczko może przytłaczającą większość swoich maturzystów spisać na straty”. Skutek jest taki, że zelowiacy idą w Polskę, a bywa, że i w świat dość daleki. Warto zastanowić się

ŁÓDZIANIE W KARYKATURZE



Aktor Stanisław Lapiński
zwany popularnie „Łapą”.

Rys. S. Arabski

nad sposobami zainteresowania studentów z Zelowa możliwością zatrudnienia ich w rodzinnym mieście.

Problem alkoholizmu dorosłych i młodzieży — nie białych problem. Wódki idzie w Zelowie ogromne mnóstwo. Istniał tu kiedyś Społeczny Komitet Przeciwno, holowy, ale działalność jego trudno określić nawet pojęciem mizerna. Trzeba całego zespołu środków oddziaływania, wśród nich możliwości zajęcia się sportem przez młodych ludzi. Cóż, kiedy sport w Zelowie, to piłka nożna i nic poza tym. Mówi się od długiego czasu o ośrodku sportowo-wypoczynkowym na terenie Zelowa, ale rezultatów, jak dotąd, nie widać. Warto by pomyśleć konkretniej o Domu Kultury z różnymi sekcjami, o zorganizowaniu Ogniska Muzycznego lub oddziału Ogniska łaskowskiego itp. itp.

Dobrze by było krytycznie spojrzeć na sprawę malowania elewacji budynków zelowo-łaskowskich, a zwłaszcza tych przy pl. Dąbrowskiego. Jest zrozumiata ambicją ojców miasta, że chcą, aby Zelow wyglądał ładnie. Ale... Le-

piej te rzeczy robić powoli, a gruntownie.

Wydaje mi się również, że niekorzystnym dla Zelowa zjawiskiem są zbyt częste zmiany na stanowisku Przewodniczącego PMRN.

Sprawa, która nie przestaje interesować mieszkańców Zelowa i która nie może być pozostawiona na uboczu — należy raczej do pierwszoplanowych, to organizacja i powstanie nowych miejsc pracy dla mieszkańców miasta i okolicy, a przede wszystkim zaplanowana od wielu lat budowa przędzalni. A ludzie podróżują codziennie do pracy — do Łasku, do Pabianic, do Łodzi i jeszcze dalej.

Przedstawiłem na marginesie opublikowanego artykułu kilka bardzo żywotnych problemów naszego miasta,

Doświadczony publicysta miałby dość materiałów, aby przedstawił je we właściwy sposób, ukazać trudności, perspektywy, nadzieje.

Łączę wyrazy szacunku

Ks. Zdzisław Tranda, Zelow
Pastor Parafii Ewang. Reform.

W następnym, świątecznym numerze „OD-GŁOSÓW” czytacie m. innymi:

- O LEKARZACH I PACJENTACH w artykule Zofii Tarnowskiej „Woda Życia”,
- O EGZOTYCZNEJ STOLICY ARMENII w reportażu Igora Sikiryckiego,
- O SIMENONIE, TWÓRCY KOMISARZA MAIGRETA i 200 powieści kryminalnych,
- nadto w numerze WIELKI KONKURS WIOSENNY z cennymi nagrodami.

ONZ przy ulicy Piotrkowskiej

ONZ — znamy ten skrót, te trzy literki kryjące w sobie wielką treść. Znamy ten skrót z informacji prasowych, z inicjatyw na międzynarodowym forum, powiara się on często w doniesieniach zagranicznych korespondentów PAP. Ale też i na tym koniec. Często nasza wiedza o tym zgrupowaniu narodów jest naskórkowa, powierzchowna.

Chyba więc i z tego względu powołano do życia Studenckie Stowarzyszenie Przyjaciół ONZ. Aby zbliżyć i upowszechnić znajomość i zrozumienie problemu tyki międzynarodowej wśród studiującej młodzieży.

Właśnie łódzkie Koło SSP ONZ (skrót jest tajemniczy i tajemniczy, może więc warto pomyśleć o jakimś sensowniejszym hasle wywoławczym np. Stowarzyszenie „Sprawy Międzynarodowe”) — a więc łódzcy studenci zorganizowali w ubiegłym tygodniu ogólnopolską sesję naukową poświęconą działalności Polski na forum ONZ. O sprawach tych czyta się na bieżąco w prasie — inicjatywy PRL znane są powszechnie a jednak była to impreza i ciekawa i potrzebna. Tego rodzaju spotkania dyskusyjne i sesje nie tylko mają dla uczestników niezaprzeczną wartość poznaw-

czą, ale uczą politycznej mądrości, propagują wiedzę o stosunkach międzynarodowych — uczą patrzeć na sprawy Polski z perspektywy szerszej, mądrzejszej.

I dlatego bardzo cieszy, że tego rodzaju studenckie imprezy odbywają się przy czynnym współudziale wysokich urzędników Ministerstwa Spraw Zagranicznych, że w podobnych sesjach bierzemy często udział wiceminister MSZ A. Kruczkowski, że na łódzkiej sesji dyrektor departamentu MSZ W. Natorf dyskutował z młodzieżą, odpowiadał na szereg pytań, mówił barwnie i ciekawie o funkcjonowaniu międzynarodowych organizacji.

„Przyjaciele ONZ”, którzy przybyli na łódzką sesję z uczelni Śląska, Wrocławia, Gdańska i Poznania twierdzili, że impreza była nadzwyczaj udana. Pierwszy raz

uczestniczyliśmy w studenckim spotkaniu o takim charakterze — trudno więc znaleźć skalę porównawczą, ale jeżeli „konkurencja” z innych ośrodków jest pełna uznania, to widać impreza rzeczywiście „wystrzeliła”.

Trudno w krótkim podsumowaniu sesji przypominać całą mnogość poruszanych tam spraw z kręgu zagadnień „Polska a ONZ”. Przypomnijmy więc tylko słowa Władysława Gomułki, który przemawiając z międzynarodowej trybuny powiedział: „ONZ musi stać się narzędziem pokojowego współistnienia i pokojowej współpracy wszystkich państw, które wyłącza stosowanie siły i groźbę jej użycia. A zakłada coraz ściślejszą więź ekonomiczną, kulturalną i naukową pomiędzy wszystkimi państwami niezależnie od ich ustroju politycznego”.

TEATR -choroba dziedziczna

Dalszy ciąg ze str. 1

wymagający poświęceń, wyrzeczeń w życiu osobistym, głębokiego samokrytycyzmu, pokory wobec sztuki. A poza tym dobre go zdrowia i odporności psychicznej. Kategorycznie protestowałem przeciwko wybraniu przez nią tego zawodu, który znam przecież tak dobrze. Złożyła papiery na polonistykę Uniwersytetu Łódzkiego bo ma w tym kierunku zdolności i — poszła zdawać do szkoły teatralnej. Nie pomogły moje tłumaczenia pokazywanie aktorstwa od najgorszej strony, wyjaśnianie, że do tego zawodu potrzeba nie tylko talentu i umiłowania sceny, ale także odrobiny szczęścia dla dobrego startu i powodzenia. Pierwsze lata studiów nie były najlepsze, dopiero na III roku zaczęła wykazywać zdolności i w rezultacie skończyła szkołę z odznaczeniem.

Po raz pierwszy widziałem ją na scenie w szkolnym przedstawieniu „Na dnie” w roli Nastii. Nie, nie miałem tremy, patrzyłem na nią obiektywnie, tak jak na innych jej kolegów, ale muszę przyznać, że sprawiła mi miłą niespodziankę.

— A czy Pan również natrafił na opory ze strony rodziców przy wyborze zawodu?

— Widzi Pan że z mną była całkiem inna historia. Dorastałem w trudnych warunkach, po pierwszej wojnie światowej i w domu sytuacja była taka, że to raczej ja opiekowałem się rodzicami, niż oni mną. A zaczęłam od „występów” w chórach, miałem wówczas bardzo ładny alt. Mieszkaliśmy w Rosji, w małym miasteczku za Smoleńskiem. Szczególnie fascynowały mnie nabożeństwa w cerkwi, wymykałem się tam, żeby śpiewać. Kiedyś przyjechał do miasteczka teatr z Leningradu. Urzekł mnie ten teatr i kręciłem się stale koło niego. Rezultat był taki, że zaproponowano mi małą rolę, niemą rolę — Tatarzyna modlącego się na kłęczkach w kierunku słońca. Śmieszne, ale to było „Na dnie” Gorkiego, w którym po raz pierwszy zobaczyłem Ewę. Po powrocie do Polski poznaliśmy w Wilnie matkę Jana Kurnakowicza Skontaktowała mnie z synem, a on dopomógł mi w dostaniu się na scenę. W ten sposób dostałem się do Teatru Syrokomli w Wilnie.

— To może rzeczywiście śmieszne — mówi Maria Kozierska — ale debiut Ewy i mnie kojarzy się z moimi losami. Jej pierwszą teatralną rolą była Klara w „Słuchach panińskich”, a dla mnie to wprawdzie nie pierwsza rola, ale w jakimś sensie najważniejsza, bo w istotny sposób wpłynęła na moje losy sceniczne.

Tak, ja również nie chciałem, żeby córka została aktorką. Znam dobrze dolę kobiety — aktorki w naszych warunkach, gdzie kobiet w ogóle jest w teatrach za dużo. Ale ja już dawno postanowiłam sobie, że nie będę przeszkadzać memu dziecku w wyborze zawodu, bo nie chciałam, by przeżywała moje kłopoty. Mój ojciec był człowiekiem starej daty, należał do tych co uważali aktorstwo za profesję pośrednią, a już kobieta aktorka to było

coś wręcz nieprzyzwoitego. W czasie okupacji pokryjomy przed ojcem chodziłam na tajny kurs teatralny prowadzony przez Wandę Tatarzkiewicz-Malkowską. Wiedziała o tym tylko matka. Po wojnie zdałam egzamin eksternistyczny w Łodzi i Stanisław Łapiński — mój teatralny ojciec — zaangażował mnie do swego zespołu. Pierwszą moją rolą była nauczycielka w „Maturze” Fodora. W tym zespole poznałam Zukowskiego, z którym na początku bardzo się kłóciliśmy. No ale jak pani widzi, doszliśmy w końcu do porozumienia.

A teraz mamy nowe kłopoty — żeby się córce powiodło. Obydwójce byliśmy przeciwni jej aktorstwu. Gdy była dzieckiem zameczano nas, by wystąpiła w filmie, nie zgodziliśmy się, nie chcieliśmy mieć „cudownego dziecka”. Ale teraz ona sama podjęła decyzję. Na pierwszym jej przedstawieniu miałam straszną treść, byłam chyba bardziej zdenerwowana niż ona sama. Mąż twierdzi, że on patrzył spokojnie i obiektywnie. Trzeba było widzieć jego miny — grał razem z nią, wcale o tym nie wiedząc.

* * *

Aleksander Fogiel ma trzech synów. Dwóch jest już na scenie. Starszy — Andrzej drugi sezon występuje w Teatrze Muzycznym w Łodzi, młodszy — Waldemar jest tancerzem Opery Wrocławskiej. Jak to się stało?

— Zupełnie nie mam pojęcia. Andrzej skończył liceum plastyczne, Waldemar ogólnokształcące. Obydwaj rozpoczęli studia historii sztuki na Uniwersytecie Wrocławskim. Wytrzymali dwa lata. Potem Waldek, który od dziecka uczęszczał do studia baletowego, zaangażował się do Opery Wrocławskiej, a Andrzej, mimo moich perswazji i oporów, zdał do szkoły teatralnej. — Po prostu nie widziałem go na scenie, uważałem że nie ma zdolności i warunków zewnętrznych. Ale zdał i dalej to już chyba jego sprawa. Długo nie oglądałem jego pierwszego przedstawienia (w „Dziękuję ci, Ewo”), aż miał do mnie żal. Więc poszedłem, ale bez większego przekonania. Tymczasem to wcale niezły chłopak, chyba coś z niego będzie.

— Ale Pan patrzy na sprawę raczej dość pogodnie?

— Proszę Pani, jak ja na nich patrzę, to widzę siebie sprzed iluś tam lat, swoje początki. Mnie się też wówczas wydawało, że robię wszystko znakomicie. Ale chyba oni robią to lepiej niż ja wtedy. Może dlatego że wychowywali się i uczyli w innych warunkach.

— Właśnie, jakie to były warunki?

— Mój ojciec był kolejjarzem i chciał, żebym i ja został w tym zawodzie. Ale mnie pociągała plastyka, chodziłem do technikum zdobniczego. Tam zainteresował się mną Wincenty Drabik i wziął do siebie, do teatru na Pradze. W ten sposób zostałem scenografem. Potem zacząłem się zajmować reżyserią i aktorstwem. Po wojnie zostałem przy aktorstwie.

— Pan ma jeszcze jednego syna?

— Tak, 16-letniego Tomasza, jeszcze chodzi do szkoły.

— Czy także będzie aktorem?

— Chciałbym, żeby poszedł na Politechnikę. On niby się zgadza, ale czasem, w chwilach szczerości mruga do mnie i mówi: „Tato, przecież i tak wiesz, że to się skończy na scenie”. Czy ja mogę z tym walczyć?

* * *

Wiesław Nowicki jest synem Zygmunta Nowickiego. Skończył łódzką szkołę w ubiegłym roku i został zaangażowany do Teatru Polskiego w Poznaniu. Czy ojciec chciał mieć syna aktora?

— Nie chciałem, żeby został aktorem. Nigdy nie widziałem go na scenie, zresztą dalej go nie widzę. Pragnąłem, by skończył filologię angielską, znał dobrze język, ma zdolności poetyckie, przetłumaczył mi bardzo ładnie pierwszy akt „Makbeta”. Interesuje go też reżyseria. A czy będzie dobrym aktorem? Zobaczymy w przyszłości. Jest bardzo uparty i bardzo pracowity a tacy ludzie osiągną z pewnością zamierzony cel. Już w zeszłym roku wynalazł sobie bardzo ciekawy tekst i przystąpił do konkursu jednego aktora we Wrocławiu jako najmłodszy jego uczestnik. Ma dopiero 22 lata.

— A w jaki sposób Pan został aktorem?

— Ja byłem wychowankiem OM TUR i stąd trafiłem na Scenę Robotniczą, prowadzoną przez Wandurskiego. Grałem w jego sztukach jako 14-letni chłopak. Lata pracy z Wandurskim to były wspaniałe lata.

* * *

Kiedy zwróciłem się do dyrektora Antoniego Makarskiego z prośbą o pomoc w znalezieniu aktorskich dzieci w Teatrze Nowym, jęk wyrwał mu się z piersi:

— Kto ma dzieci studiujące aktorstwo? Ja mam córkę w szkole teatralnej.

Już nie miałam potrzeby pytać czy ojciec akceptował decyzję córki. 22 lata pracy w teatrze, choć nie na scenie i już dziecko zaraża się tym bakcylem. Dyrektor Makarski stwierdza jednak, że nie on jest „winowajcą”.

— W liceum miałem kółko teatralne, tam się zaraziła. A ja tak chciałem, żeby poszła na anglistykę, ma zdolności do języków, zapisałem ją na kurs angielskiego, żeby była lepiej przygotowana do egzaminu, a ona nawet nie poszła na ten kurs. Do szkoły teatralnej zdała dobrze, podobno jest zdolna, ale to przecież dopiero drugi rok studiów, nie jeszcze nie wiadomo. A w ogóle to stanowczo za szybko nam dzieci rosną i usamodzielniają się.

* * *

Jak widać stanowisko rodziców jest jednoznacznie negatywne w sprawie wyboru zawodu przez ich dzieci. Ale wydaje mi się, że tak w głębi serca, nie przynajmniej się nawet do siebie, są z tych dzieci dumni, cieszą się, że obrały ten właśnie zawód. A zastrzeżenia wynikają tylko z troski właściwej wszystkim rodzicom — by się w tym zawodzie powiodło, by wykazały talent, by były szczęśliwe, by uniknęły losu zawodzonego, rozczarowanego aktora, którego spotkał zawód, który nie zdobył popularności, sławy.

Proszę Państwa, takie ryzyko istnieje w każdym zawodzie!

TERESA WOJCIECHOWSKA

LISTY ze wsi WIEŚ z listów...

Dalszy ciąg ze str. 1

gu każdego dnia z chłopca w robotnika. Łączy składki na „Związek” i „1000 Szkół”, z koleją dla księdza, marsz w pochodzie 1-majowym, z niedzielnym marszem do kościoła. Pamiętaj co pisze Zosia?

MAJ 1968.

„Ja byłem na 1 Maja. Nawet maszerowałem w pochodzie ze Szkołą Przynasobienia Rolniczego. U nas to i tata był, maszerował w pochodzie,

(Jadzia była... Przedtem w Sielpi spaliliśmy w domkach, jedzenie dostaliśmy darmo. A w środę pojechaliśmy samochodem do Końskich na ten pochód. W domu nic się nie stało. Nie martw się bo jak się będziesz martwić, to cię będzie boleć głowa”.

Przemysł wpływa zasadniczo na oblicze Dziebałtowa. Praca na dwóch etatach, przy warsztacie i w polu (a ojciec autorek listów, również tak pracuje), przysparza nie tylko grosza. Jest jakby pomostem między stylem życia w mieście i na wsi. Życie na wsi toczy się niby tak samo jak dawniej i dziś wyznaczają je polity roku. Ale takie samo już nie jest...

CZERWIEC 1968 — pisze Zosia:

„Tata pożyczyl z biura 2 tysiące. To daliśmy 700 złotych na łóżka, Dziadkowi od Salamunka, my zapłacili za mięso... Tata sobie kupił czarne ubranie, które kosztowało 550 zł. Od siostry wzięliśmy nawozu pół metra za 180... Kartofle sadziła mamusia i ja. Teraz na sobotę to sobie najmiemy ludzi. My robili w polu od Janeczka koniem. Sam tata robił, bo Janek to chory i nie robi tylko siedzi w domu. Obornik rozwaliałam ja i rozrzuciłam sama cztery furcy... Krowy to już pasjemy. Kartofle już z kopca wybrałiśmy. Krowy pasie mama, bo ja muszę być w domu. Bo nam się wylęgo

8. gęsi... Wesele u Bernardzi będzie chyba, bo już Bernardka zbiera na PKO”.

Pisze Jadzia: „Nie miałam czasu bo z latą musieliśmy suszyć siano i tata sieki, a ja rozrzuciłam... Terenia (czwarta siostra, jedenastoletnia — przyp. L.D.) będzie miała 9 czerwca rocznicę i przyślapi do komunii, a nie ma trzewików, musi mama kupić jej trzewiki, musi sprzedać kurę... Mamy 19 kurcząt i 8 gęsi. A w środę byliśmy z mamą z krowami na zastrzykach, a w sobotę na sprawdzienie. Krowy mamy się nie gza... Stasiu (brat 8 lat) i Terenia nie wiemy czy zdadzą. Jak mu się powie to się drze, a kierownik mówi że nie zda tej szkoły”.

Szkoła w Dziebałtowie, ta do której Ty Krysiu, chodziłaś i Zosia, a chodzi Stasio, Terenia i Jadzia i 367 innych dzieci, to najważniejsza rzecz. Siedzimy w pokoju nauczycielskim. Przedstawiciele Wiedzy i Władzy. Komplementują szkołę, że ładna i jaka duża, tyle kwiatów w klasach, pomoce naukowe — i poczet królów, i szkielec jakiegos ssaka, warsztaty stolarskie, i tzw. „tablice utrwalające”. Oni — mówią: „taak, teraz, to niebo a ziemia”. „Przedtem nauka po chalupach szła, atrament zamarzał, podłoga się ugnięła”. Kierownik wyciąga kronikę szkolną

„Według sprawozdań wiarygodnych osób, którzy pamiętają zaczątki oświaty w Dziebałtowie, pierwszym, który prowadził nauczanie w języku polskim

niedoświadczonym przez rząd rosyjski był Jan Patynowski, mieszkaniec tej wioski... Po Janie Patynowskim (od roku 1908 do 1917) udzielał nauki Jan Janik, również mieszkaniec tej wsi. Naukę prowadził w wynajętym lokalu opłaconym przez wies. Oprócz tego uczył jeszcze we własnej chłopskiej izbie Jan Gąszcz. Uczył czytać, pisać, rachować w najelementarniejszym zakresie. Nauka odbywała się tylko w miesiącach zimowych”.

Następne ważne wydarzenie, to budowa nowej szkoły. Rozpoczęto ją — jak notuje skrupulatny kronikarz — 8 października 1962 roku. Na placu zakupionym przez komitet budowy szkoły.

„W pracy społecznej wyróżnili się kierownik szkoły — Domagała Julian, siostry ze wsi Dziebałtów Nowy — Jakubowski Edward oraz radny Gąszcz Franciszek s. Mikołaja ze Staroego Dziebałtowa”.

Po dwóch latach, 19 lipca 1964 r nastąpiło uroczyste bardzo uroczyste otwarcie nowej szkoły, której nadano imię 20-lecia PRL.

„Na placu szkolnym — notuje kronikarz — zebrałi się mieszkańcy Dziebałtowa i okolicznych wsi”. W pięć lat po tym doniosłym fakcie, w pokoju nauczycielskim odżywa znów gorąca atmosfera z okresu budowy. „Od domu do domu my chodzili,

Dalszy ciąg na str. 4

str. 3

W lutym ślub w grudniu rozwód

Ulica Rewolucji 1905 r. W głębi podwórza Pałac Rozwodów. Mała sala na drugim piętrze. Krzesła obok mnie puste, jestem jedynym kibicem spraw, które tutaj codziennie toczą się przy drzwiach zamkniętych. Uczestnictwo w sprawach rozwodowych ma coś z podglądania ludzi przez dziurkę od klucza, widzi się ich bowiem takimi, jakimi są naprawdę, a nie pozę, w jaką stroją się dla bliźnich. Słyszysz najintymniejsze ludzkie zwierzenia jakby opatrzone etykietą „tylko na użytek sądu”.

Przed sądem defilują coraz to nowe powódki, coraz to inni pozowani. Po którejś tam z kolei sprawie zacierają się twarze. Widzi się problem. Zaskakujący. Niespotykany w takiej skali w żadnym innym mieście poza Łodzią.

1.

Rozpoczyna się misterium rozwodowe. Na salę wkracza korowód. On z adwokatem. Ona również z obrońcą. Oboje sympatyczni, dobroniuszni. On lat 52, z przejęcia spocony. Ona — postawna blondynka. On i Ona są rencistami.

On: — Czy popieram powództwo? Tak, proszę wysokiego sądu. Jestem już niemłody i na dodatek inwalida. Pobrałem się z powódką latem 1968 roku, bo byłem sam. Po ślubie nic się nie zmieniło, znów byłem sam. Jak któregoś dnia zasiałem — pogotowie wezwali sąsiedzi. Helena, znaczy się: powódka, biegła ciągle do dzieci. Ma ich czworo, więc całe dnie była poza domem. A ja siedziałem bez obladu.

Do akcji wkracza adwokat powódki: — Proszę powiedzieć sądowi — czy dzieci żony przychodziły z wizytami?

— Pewnie, że przychodziły, ale on robił fochy, złościł się, jak przyszły — wtrąca nie pytana kobieta.

— Bo lubię spokój, wysoki sędzie — broni się kandydat do stanu wolnego.

Przed sądem już inna para. Ona — 60 lat, On 65. Nieśmiała, wątpiwa, wrażliwa kobieta mówi z wyraźnym trudem:

— Nie wiedziałam, proszę sądu, że mąż lubi zaglądać do kieliszka. Znalam go przez ciebie ładnych parę lat przed ślubem, ale nie wiedziałam, że pije, nigdy przedtem nie widziałam go pijanego. Tak się maskował, taki był skryty. Nie chcę mieszkać z pijakiem. Co to za życie, jak on, już do dwudziestego, przepija moją i swoją rentę, którą otrzymujemy piętnastego. Wstydzę się swoich dzieci, proszę sądu, ile razy przyjdą, to on zawsze pijany.

I następni. Tu sprawa zbliża się już do końca, wysłuchano zważnionych małżonków, nakłoniono ich do zgody, przesłuchano świadków. Kolej na adwokata.

— Klient mój ma sześćdziesiąt lat. Jest na rencie, w pięknym okresie życia, który poeci nazywają — złotą jesienią. Ten piękny okres życia ma również swoją złą stronę. Jest nią samotność. Przed rokiem mój klient zdecydował się w wieku lat sześćdziesięciu założyć ponownie rodzinę. Znaleźć towarzysza życia. Mój klient nie jest

zamożny. Poza rentą nie ma innych dochodów, nie ma majątku. Kobieta, z którą zawarł przed rokiem związek, jest zamożna, ma większe od niego wykształcenie, własną willę za miastem i kurzą fermę. Klient mój szukał towarzysza na starość, a stał się parobkiem w kurzej fermie swej żony. Śmiem twierdzić, że kobieta ta szukała nie towarzysza na starość a fizycznego pracownika do swojej fermy. Ale mój klient ponad majątek, willę, telewizor i kurzą fermę woli spokój, kóry jest przywilejem jego wieku...

Na 6 spraw rozwodowych znajdujących się na wokandzie 17 lutego br. w 3 rozwodzili się renciści. Na 8 spraw w następnym tygodniu, w 3 rozwiązania związku domagali się ludzie powyżej 50 lat, zaś na 5 spraw w dniu 27 lutego, w 2 małżeńskich węzłach próbowali zerwać ludzie w wieku powyżej 60 lat. Ciekawostka? Nie. Zjawisko.

2.

— Rocznie przez nasze biuro przewija się około 1000 osób — mówi p. Maria Zawistowska z Biura Matrymonialnego „Swatka”. Dość pokaźną grupę naszych klientów stanowią ludzie po sześćdziesiątce. Trzeba wiedzieć, że i w jesieni życia zdarzają się wielkie miłości. Jeden z naszych klientów, 75-letni mężczyzna, poznał pewną panią, która niby mu odpowiadała, ale do ożenku nie spieszył się. Jego wybrana, znużona widocznie brakiem zdecydowania, wyszła za mąż. Dowiedziawszy się o tym wybiegł z biura jak szalony i nie do wiary — usiłował, na szczęście nieskutecznie, odebrać sobie życie.

Mówi kierownik Urzędu Stanu Cywilnego Prez. DRN Śródmieście Władysław Dordański: Udzielamy około 180 ślubów w miesiącu. Gdzieś około 15 proc. nowożeńców stanowią ludzie po pięćdziesiątce. Oczywiście, zdarza się, jak to było np. pod koniec lutego, że 71-letni mężczyzna żeni się z 21-letnią dziewczyną, ale jest to wyjątek, potwierdzający regułę, iż różnica wieku między nowożeńcami jest niewielka. Przed kilku dniami udzielałem ślubu właśnie takiej parze, on liczył sobie lat 55, ona 50. — Czy zgadza się obywatel pojąć

za żonę tę oto kobietę — pytam. A mężczyzna milczy. Myślę — wzruszenie. Pytam jeszcze raz — milczy. „Tak czy nie” — pytam po raz trzeci. „Nie” — odpowiada. Dostało mu się wtedy od niedoszłej żony.

Minęło 5 miesięcy, patrzę, są z powrotem. „Tak” powiedział bez zająknięcia. Ziośliwi mówili, że trenował wymienienie tego słowa przez te 5 miesięcy.

— Zdumiewające to zjawisko: coraz częściej występujące rozwody wśród ludzi życiowo dojrzałych. Renciści, w każdym razie ludzie po sześćdziesiątce, stanowią drugą co do wielkości grupę, która przewija się przez tutejszy wydział rozwodowy Sądu Powiatowego — mówi sędzia J. Kaźmierak. Zjawisko godne chyba socjologicznych dociekań i badań.

3.

W lutym ślub, w grudniu rozwód — takie historie nie są rzadkie. Ostatnia publikacja GUS „Rozwody” podaje, że wśród 24 500 rozbitych w 1967 r. małżeństw, którym udzielono rozwodów — 2 procent rozeszło się w tym samym roku, w którym zawarło związek małżeński, ile w tych 2 procentach było ludzi młodych, a ile rencistów — nie wiadomo i nikt tego nie bada, ustala, wylicza.

Wiadomo jednak, że inżyniera, sprzątaczkę, technika, tkaczkę, językownicę i lekarza — którzy przewinęli się przez sale sądowe III Wydziału Cywilnego Sądu Powiatowego w Łodzi łączy jedno — ogromny kapitał życiowego doświadczenia. Ten багаż życiowej mądrości pozwalał przypuszczać, że ich małżeństwa będą udane. Mieli własne mieszkania, dorosłe już dzieci. I nie wyszło. Nie porwy wielkich, słomianych uczuć, ale ucieczka przed samotnością, obsesja pustego mieszkania podsunęła im myśl złączenia się węzłem na dobre i na złe, kazala liczyć, że ten drugi równie samotny nie opuści w chorobie i potrzebie. Przeliczyli się. Ponieśli klęskę. Rozczarowali się raz jeszcze. Dlaczego? Przecież tak skrupulatnie, tak nieprzyzwyczajnie trzęswo kalkulowali niekiedy z nich i rachunek zawiódł. Gdzie leży błąd w tych

wyliczeniach? A może nie wzięli pod uwagę siebie. Przyzwyczajenia są drugą naturą człowieka — mówi przysłowie. Nawyki, upodobania, wyrobione w ciągu lat są silniejsze od ludzi. Oni byli w wieku, w którym nie sposób już ich zmienić, bo przyzwyczajenia są drugim ja. Pokonali ich. Czy to jest psychologiczne podłoże tego zjawiska, nietypowego i jedyne w Polsce, nie wiem. Ale innego wytłumaczenia znaleźć nie potrafie.

Pozostaje jeszcze jedna niejasna strona tego zagadnienia. Dlaczego ludzie w złotej jesieni czują się samotni? Mają przecież dorosłe dzieci. Czy niknie więź rodzinna? Czy niknie na naszych oczach — zjawisko tak mocno akcentowane w literaturze — mit dziadka i babki, którzy opiekowali się wnuczkami, którzy w czasie, gdy ich dzieci harują, są dla wnuczków niezastąpioną skarbnicą wiedzy o świecie, o przodkach, którzy odpowiadają na nie kończącą się litanię dziecięcych pytań: — dlaczego?

Dlaczego czują się samotni? Czy może wpływa na to zerwanie więzi z zakładem pracy? Ten problem jest przecież nie bez znaczenia.

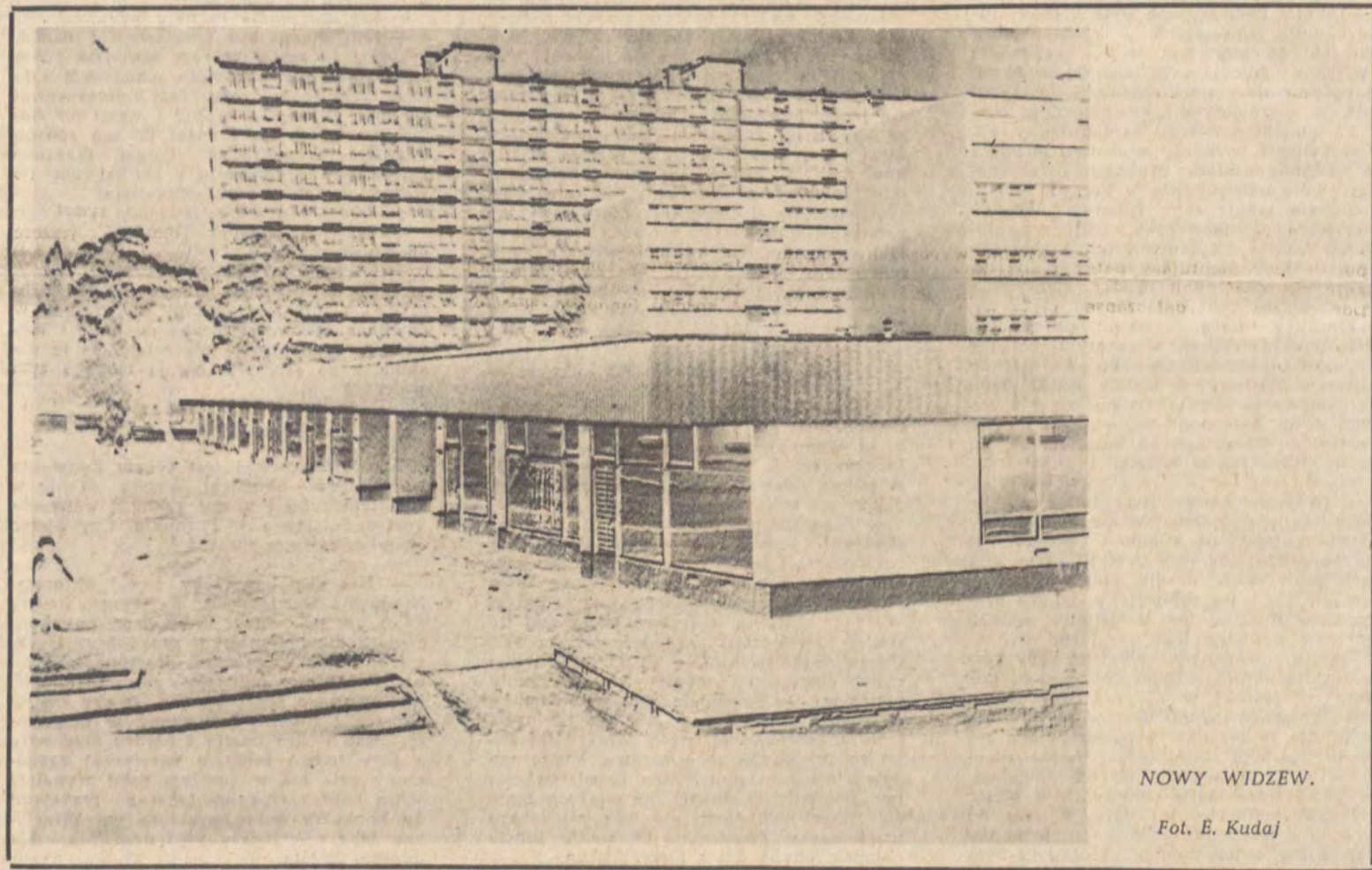
4.

Mówi dyrektor Miejskiego Urzędu Statystycznego w Łodzi, Wiktor Pietruszka: — Łódź nie jest miastem rencistów, ale ludzie starzy stanowią dość spory odsetek mieszkańców. Oddajmy głos liczbom. W 1960 r. Łódź miała 717 tys. mieszkańców — więcej niż 60 lat życia liczyło 77 tys. kobiet i mężczyzn. W wieku powyżej 70 lat było w tym czasie 28 tys. łodzian.

Natomiast w 1965 r. na 744 tys. mieszkańców, powyżej 60 lat życia miało 96 tysięcy kobiet i mężczyzn, zaś powyżej 70 lat liczyło 33 tys. osób.

Wyliczyliśmy, że w 1970 r. na 770 tys. mieszkańców Łodzi grupa powyżej 60 lat liczyć będzie 121 tys. kobiet i mężczyzn, zaś w wieku powyżej 70 lat będzie 44 tys. mieszkańców.

Problem więc zostanie?...



NOWY WIDZEW.

Fot. E. Kudaj

LISTY ze wsi WIEŚ z listów...

Dalszy ciąg ze str. 3

wtedy śniegi takie duże były, a my po ludziach. Po 300—400 zł każdy dawał. Niektórzy nie tyle z chęci, co ze wstydu przed innymi. Zgromadzone fundusze społeczne i efekty prac społecznych wyzwoliły fundusze państwowe i budowa poszła na całego. W roku 1970 ma powstać jeszcze dodatek do szkoły, 12-izbowy Dom Nauczyciela. Jeden z czterech w powiecie. Obok nowej, rozpartej szeroko szkoły

stoi sobie stara, drewniana, ta sama, w której jeszcze nie tak dawno i Ty, Krysiu, się uczyłaś i Halinka Sękowska, twoja łódzka koleżanka, a też dziebałtowianka. Nie wiem czy pamiętasz, ale były i takie dni że uczyliście się przy naftowej lampce. „O 16.30 było już szarawo” — wspomina kierownik. Dziebałtowskie „strzechy”, z których część już zmieniła się, a część zmienia w murowane parterowe domki, rozbiły elektrycznością dopiero pięć lat temu. To niemal symbol — zrobiło się jasno wraz z nową szkołą. Nie trzeba oczu do lampy przytykać, nie trzeba z latarką wszędzie chodzić. Dziś o 16.30 w byłej szkole dopiero zaczyna się coś dziać. Usytuowano w niej bowiem Klub Rolnika, otwarty do godz. 22, a w soboty i do 23. Gazety, szachy, czasopisma, kawa za 2.20, „Bambino” i płyty, no i — telewizor, jeden z 27, które „nastąpiły” w Dziebałtowie.

LIPIEC 1968 — pisze Zosia:

„Czy tam gdzie jesteś, jest już telewizor, bo do 20 sierpnia niedaleko... (A 20 sierpnia miała być audycja między innymi o Dziebałtowie — przyp. I. D.).

SIERPIEŃ 1968:

„Krysiu, czy byłaś 20 sierpnia na telewizji? My byli. Ale my się uśmiełi. Mama też była. W telewizji występowała Heika i Szczepan”.

Telewizja to efektywny symbol zmian. Ale są i inne, ważniejsze. Zmieniają się życiorysy. Nowego pokolenia oczywiście. Starsze trochę młodym zazdrości. „O, żeby nie dzieci, to ja by w cały świat poszła. Już mi się przykrzy a przykrzy” — oświadczyła Twoja mama. Chłopcy dostarczają przykładu socjalistycznego awansu. W najlepszym wydaniu. Obecnie np. studiuje ze wsi tylko jedna, jedyna dziewczyna i pięciu chłopców. W tym na prawo — Franciszek Gąszcz, podobno wnuk tego Gąszcza, co to we własnej, chłopkiej izbie uczył. Na czwartym roku AM w Łodzi studiuje Józef Gawęda.

„Obecnie większość młodzieży po ósmiej klasie idzie dalej” — mówi Genowefa Sęk. Na 53 co skończyli we wrześniu, z 50 osób chyba dojeżdża do szkół. PKS, tak zwany „młodzieżowy”, co o 7.20 z Dziebałtowa odchodzi, jest załadowany. Do Końskich do techników najróżniejszych dojeżdżają, a nawet do odległego Stąporkowa.

Niemniej i dziś są tacy, a przeważnie takie, co na podstawówce edukację kończą. Z różnych przyczyn. Ile ich jest? Nikt nie wie. Wiadomo jednak, że z całego powiatu koneckiego co roku 3 tysiące ludzi wyjeżdża do prac sezonowych. Na Ziemię Zachodnią, pod Warszawę do „badylarzy”. Na zalesianie, na truskawki, na jabłka, na kopanie ziemniaków. Takie małe saksy

we wnętrzu... Jednocześnie wiadomo, że 1000 kobiet w powiecie poszukuje pracy. Ziemia tu taka, że „zajęcie w okularach hasają, aby sobie oczu piaskiem nie zasypać”. Ile jej na gospodarza? Pół hektara, hektar, dwa, dwa i pół. Cztery ha to już prawie ziemianin. Do tego poszatkowana ta ziemia — z ojców na synów, z synów na wnuków przechodziła. Tu kawałek, tam kawałek. „Niedługo każdy swoją działkę weźmie na plecy i będzie w koszyku nosił” — mówi sołtys. Z samej ziemi nie wyżyjesz. Tym bardziej, że w tym powiecie najniższa w całym powiecie i dużo niższa od średniej dla kraju, wydajność czterech zbóż, najniższe zbiory ziemniaków, najmniej przypada bydła i trzody chlewnej na 100 ha użytków. Więc jedyna nadzieja dla wielu — i dla wielu spełniona, to praca gdzie indziej. W Koneckiem utrzymuje się z pracy poza rolnictwem 38 procent ludności wiejskiej, w tym dodatkowo w rolnictwie pracuje 26 proc.

ZMW — mówi przewodniczący Zarządu Powiatowego — Mielczarek, robi więc, co może. ZMW — autor hasła: „wszyscy uczymy się zawodu”, rozwija szkolenie. W Koneckiem uczą na traktorzystów, na spawaczy. Ale chłopców i to też nie za darmo. Z dziewczynami gorzej. Właściwie nie ma dla nich roboty, więc czego tu uczyć?

RAYMONDE TEMKINE O GROTOWSKIM

Wybitna pisarka francuska, Raymonde Temkine, napisała w roku ubiegłym książkę na temat organizacji współczesnego życia teatralnego w jej kraju pt. „Entprise théatre”.

Kilka miesięcy wcześniej sygnalizował zjawisko Grotowskiego znakomity dramatopisarz i krytyk genewski Walter Weideli. Od 1962 roku pani Temkine nieprzerwanie śledziła działalność i osiągnięcia polskiego teatru, kilkakrotnie w naszym kraju bawiła w roku ubiegłym, miała odczyt w polskim Pencieble.

JAN GRABOWSKI

Psychologia na wojnie

„Z psychologią zaś, która bywa często bronią niebezpieczną w rękach powieściopisarzy, wojskowi obchodzą się tak, jak dziecko obchodzi się ze strzelbą”.

Wielki pisarz francuski Louis Aragon znacznie tu przesadził. Słowem jego zaprzecza zjawisko, któremu na imię wojna psychologiczna. Termin ten znają dziś wszystkie języki świata: Psychological Warfare, Psychologische Kriegsfuehrung, guerre psychologique... Metrykę ma nową. Zjawili się w piśmiennictwie amerykańskim u progu lat czterdziestych, w związku z badaniem metod propagandy goebbelsowskiej i rychło rozpowszechnił się zwłaszcza w kołach wojskowych i politycznych Stanów Zjednoczonych.

Alle przecież owe postępy fizyki, biologii czy psychologii służą nie tylko wytworzeniu broni masowego zniszczenia czy hodowli bakterii jako broni bakteriologicznej, oddają one swe usługi także dla walki z nimi, w obronie ludzkości przed katastrofami wojen światowych i lokalnych. Ocena moralna zjawiska wojny psychologicznej zależy więc od tego, jaka jest w istocie ta wojna.

ski ruch oporu podczas okupacji tzw. „Akcję N”, a inaczej prowadzoną przez radio „Wolna Europa” i stojące za nim siły polityczne, skierowaną przeciw Czechosłowacji dywersyjną operację „Veto” (1954).

Amerkańscy specjaliści od wojny psychologicznej nie ukrywają, że wiele nauczyli się od Josefa Goebbelsa. Hitlerowski minister propagandy pozostawił obszerny liczący 6800 stron dziennik przechowywany obecnie w bibliotece uniwersytetu w Stanford. Był on przedmiotem licznych studiów mających na celu nie tylko dokładne poznanie dzieł Hitlerowskiej maszyny propagandowej, lecz także wyciągnięcie z nich wniosków dla działań praktycznych. R. T. Harlow bez ogródek przyznaje: „Kilka zasad propagandy wyrażonych w dzienniku ministra propagandy, ma zastosowanie dla działalności społecznych, zajmujących się masową perswazją”.

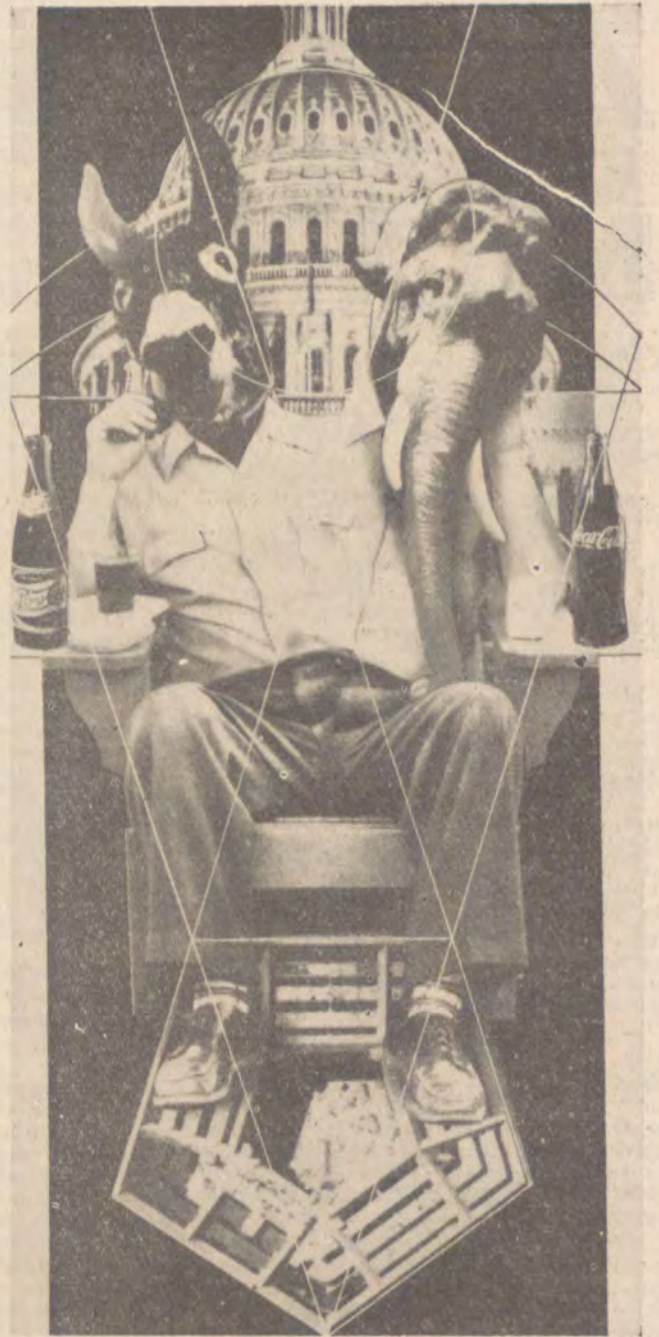
Ani młodość terminu, ani goebbelsowska genealogia współczesnej zwłaszcza amerykańskiej wojny psychologicznej nie zmieniają jednak faktu, że zjawisko to ma swoją starą już metrykę. Nie myślimy tu jednak co fać się do starożytności czy

średniowiecza, ani nawet do czasów napoleońskich, choć wtedy właśnie zastosowano w swoisty sposób „broń psychologiczną”, rozrzucając kopie listów miłosnych dowódcy nadciągających obcych wojsk, celem zdyskredytowania go w społeczeństwie. Cofniemy się tylko do czasów I wojny światowej, kiedy to po raz pierwszy zastosowano na szeroką skalę to, co znacznie później nazwane zostanie „wojną psychologiczną”.

Wszystko zaczęło się wów czas, kiedy we wrześniu 1914 roku lotnicy 3 eskadry bawarskiej zrzucili na francuskie miasto Nancy ulotki, w których zapowiadali jego zbombardowanie. Nikt by nie pamiętał dziś o tej inicjatywie grupki niemieckich oficerów, gdyby nie był to pierwszy znany wypadek wykorzystania lotnictwa dla celów propagandy na froncie. Chociaż Niemcom należy przyznać pierwszeństwo pomysłu, to „wynalazek” ten został udoskonalony i zastosowany na szeroką skalę przez ich przeciwników. Już po przegranej wojnie generał Erich von Ludendorff — ten sam, który później wslawił się udziałem w hitlerowskim puczu w 1923 roku — pisał w swoich wojennych pamiętnikach (1919): „Na nieprzyjacielską propagandę patrzyliśmy jak struchlały królik na węża. Była zakrojona na szeroką skalę i bardzo zręczna, operowała myślami skutecznie oddziaływały na masę, w najpełniejszej zgodności z prowadzeniem wojny i posługiwała się bez skrupułów wszystkimi środkami”. Środków tych było zaś sporo, choć oczywista nie tyle, co podczas II wojny światowej.

W posługiwaniu się „bronią psychologiczną” w działaniach wojennych największe sukcesy odnosili wówczas Francuzi. W połowie 1915 roku przy oddziale informacyjnym Sztabu Generalnego powołali oni biuro „Służby propagandy lotniczej”, które miało wyłączać prawo i zadanie opracowywania i rozpowszechniania druków propagandowych pośród nieprzyjacielskiego wojska i na jego tyłach. W maju 1918 roku powstał potężny „Ośrodek działalności propagandy przeciw nieprzyjacielowi”, skupiający wszystkie ośrodki urzędowej akcji.

Skierowana przeciw Niemcom francuska działalność propagandowo-dywersyjna przybrała najróżniejsze formy. Spośród licznych ulotek, szczególnym sukcesem okazał się „List otwarty jeńca niemieckiego”, opracowany na podstawie dzienniczka odebranego pewnemu podoficerowi, zawierający wiele szczegółów tak



wiarogodnych, że niemieckie władze wojskowe podjęły śledztwo przeciwko nie istniejącemu jeńcowi i poszu kiwały jego rodziny, prasa zaś podniosła istną burzę. Kiedy w początku 1917 roku niemieckie dowództwo wyznaczyło premię dla wszystkich, którzy oddadzą odnalezione ulotki, „Służba propagandy lotniczej” poczęła opatrywać swoje druki następująco naklejką:

„UWAGA! PRZEPISAĆ, PRZE Drukować, odpisy podawać dalej, a potem niemieckie egzemplarze złożyć w najbliższym urzędzie policyjnym, gdzie w myśl obwieszczenia dowództwa armii grupy A i B uczciwy znalazca otrzyma gotówką za każdy nieznaną jeszcze druk 2 marki, a za wszystkie następne e-

GZEMPLARZE PO 0,15 MARKI OD SZUKI”.

Oprócz ulotek kolportowano także większe wydawnictwa propagandowe, jak np. antymilitarystyczną książkę „Oskarżam”, oskarżającą militarystykę pruski i Niemcy o spowodowanie wojny. Kolportowano również dywersyjne gazetki, takie jak „Die Feldpost”, „Kriegsblaetter fuer das deutsche Volk” czy „Das freie deutsche Wort” adresowane do żołnierzy niemieckich. Do największych sukcesów francuskich należy zaliczyć wydawnictwa podziwające się pod oficjalne publikacje niemieckie. 29 sierpnia 1916 r. na obszarze całej Alzacji pojawił się numer niemieckiej gazety „Die Strassburger Post”, opatrzone normalnym numerem ko-

D. c. na str. 7

WRZESIEŃ 1968 — pisze Zosia:

„Krysiu, kopania już są teraz. Ludzie już kopają i po mnie przychodzi. Maryśka to w czwartek jedzie na kopanie pod Warszawę, z Tereską...”

Wcześniej jeszcze, w czerwcu donosił Jędzia:

„...Na truskawki najpierw pojechały Michaśka, Maryśka i Maryśka od Dębica. Potem Maryśka napisała list do Tereski Kosmalowej, żeby dwie pojechały do niej i pojechały Zośka, Tereska i ciotka Hanka. Powiedziały, że będą miały po 60 zł za dnówkę”.

PAZDZIERNIK 1968.

„Maryśka od Hunorki jest na zachodzie, na ziemniakach. Maryśka już przyjechała spod Warszawy. Zarobiła 2.500, a Tereska od Kosmała pojechała później i zarobiła 1.500”.

Na co to głównie idzie? Jak rodzina części nie przechwyty, to na ciuchy. Dzień czyni „mini” noszą, bo w ogóle noszą się po miejsku. To już nie te czasy, kiedy ojcowie nauczali dzieci: „w niedzielę weź sobie trzewiki na plecy i przed kościołem obuj”.

LISTOPAD 1968 — pisze Jadzia:

„Krysiu, kiedy ty sobie kupisz zegarek? Przyjeżdżesz na święta i nie będziesz miała zegarka, koleżanki by się śmiały. A dlaczego ty takie szyjesz sukienki, że są klasne i że się odchudzasz?”

Pamiętasz co jej odpisałaś? „A bo chcę sobie żyć sukienki krótkie i cia-

sne, a zegarek kupiłam sobie 9 listopada. Kosztuje 620 zł. Kozaczki sobie już kupiłam czerwone. Kosztują 450 zł. Za listopad kupię sobie towaru na sukienkę, czerwony szalik, czerwone rękawiczki”.

GRUDZIEŃ 1968 —

„obraz już nasz poszedł... Gęsi wszystkie my sprzedał. Tylko jedną żemmy zostawił. Mama za gęsi brała 60 i 70 zł. Zdarliśmy pierze już Nowakowej i dała 300 zł. Krowa nam się odciełła”.

STYCZEŃ 1969. —

„Ksiądz będzie u nas chodził w tym tygodniu. Stasiu już pisze ładnie, dostaje trójki... Tata mówił, żebyś mu kupiła koszulę 38”.

LUTY 1969. —

„Niedawno Heńka od Gieni Magdaleny zabił pekaes i umarł. Dzieci jego tak płakały. Ludzi bardzo dużo było na pogrzebie. Do Tereski Kosmała. wej chodź kawaler z Brodów Nowych i podobno po Wielkanocy ma się żenić. Krysiu, to jak masz kupić sobie ten płaszcz to sobie kup, ale niebieski. Stasiu wcale nie chce chodzić do szkoły. Jak przyjedziesz to wcale mu nie daj nic i nie przywoź mu piłki. Wcale nie chce się uczyć”. I dalej — „są imieniny Heleny. Jeśli będziesz chciała wystać kartkę do chrześniomatkki to tak napisz: „W dniu imienin życzę Ci Chrześnia zdrowia, długich lat życia, poclechy z dziećmi i doczekania się mojego wesela. Tego życzę Chrześniaku Krysiu. A mnie, Krysiu, bardzo żęby doczekała” — pisze w dalszym ciągu Zosia, ale się boję usuwać. Mam jeszcze do rwaną piątę”.

Szkoda, że Zosia przypomniała sobie o tych zębach w lutym. W sierpniu był przecież obóz Łódzkiej Akademii Medycznej w Sielpi. Ludzie z Dziebałtowa mówili: „Idę do doktorów, do Sielpi. Jeden się nie pozna, to się pozna drugi, bo ich tam dużo”.

W zeszłym roku już po raz czwarty z kolei od 1 do 30 sierpnia działał w Sielpi ośrodek zdrowia z 10 specjalistycznymi gabinetami i laboratorium. Po raz czwarty 2 razy w tygodniu docierały w tym czasie do 8 wsi powiatu koneckiego — w tym i do Twojej, Krysiu, ekipy lekarskiej internistyczno-stomatologicznej. Taki obóz — 20 lekarzy specjalistów, 50 studentów starszych lat AM i wszyscy do usług za darmo, to prawdziwa szansa dla powiatu. A powiat dysponuje na 108 tysięcy mieszkańców szpitalem i bardzo szczupłą kadrą lekarską. W sumie przez te 4 lata udzielono ponad 3000 porad i co najważniejsze rozbudowano w ludziach potrzebę dobrej opieki lekarskiej. Ze jej brak, świadcza choćby takie fakty. 75 procent pacjentów, którzy wymagali leczenia u laryngologa, okulisty, ginekologa, dermatologa widziało na oczy takiego specjalistę po raz pierwszy w życiu. Niektórzy pacjenci stomatologów oświadczały, że zęby rwał im „taki od kowala”. U 70 proc.

badanych dzieci stwierdzono krzywicę, u wielu anemię, niedobór wagi i wzrostu. Były to w szczególności dzieci z rodzin wielodzietnych, gdzie jak wiadomo się „nie przelewa”, i gdzie jeszcze często dziecko pracuje na równi z dorosłymi i podobnie jak oni nie je tak, jak potrzeba. Zalewajka, kartofle, mleko, chleb. Chleb, mleko, kartofle, zalewajka. Na niedzielę, a u niektórych tylko na święto — mięso.

A równocześnie: motory, telewizory, rajstopy, modylenowe bluzki, mini spódnice, Niedzielnia parada strojów do kościoła, trzy kilometry na szpilkach. A jednocześnie — ciągła chęć kupowania, ciągła rywalizacja kto ma więcej ładnych rzeczy...

Socjalizm podbija wieś. Możliwością nauki — nawet i uniwersytet jest w Dziebałtowie, powszechny, troska o zdrowie, ba nawet ubiorem i wszystkim tego wciąż za mało. „Bo teraz inny człowiek jest. Tylko tego nie umiem określić” — mówi kierownik szkoły. Wszystko się zmienia. W ludziach i w życiu...

Awans wsi, stałe podnoszenie stopy życiowej, dobrobytu, dorównywanie do poziomu miasta — jest procesem długotrwałym, ale systematycznym, postępującym z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc. To właśnie chcieliśmy w tych listach pokazać.

IRENA DRYLL

ZMOWA OBOJETNYCH

Ciągle mam wrażenie, że w życiu otworzyłem nie te drzwi i znalazłem się przypadkowo w innym wymiarze.

— Nad czym pan rozmyśla, młodzieńcze? — mówi basem Konkol.

— Młodzież zawsze stara się wymyślić proch, zapominając, że na tym świecie już nic nowego się nie wymyśli. Wiele słyszałem o panu... — wykrzyknął nalaną twarzą i nagle porozumiewawczo mruga do żony. — Weź go w opiekę.

Mam chęć odpowiedzieć zupełnie serio, ale odpowiedzieć tak, by wszyscy odskoczyli od stołu, lecz Konkolowa obejmuje mnie ramieniem i mruczy niby rozpieszczona kotka:

— Chętnie się panem zajmę... Boże, jakie to dziecko ma oczy! — wykrzykuje nagle. — Można stracić głowę, daj słowo.

Przy stole tymczasem zaczyna być głośno. Pomimo otwartych okien staje się gorąco. Pijemy ostro, bez toastów. Krystyna nerwowo gniecie serwetkę. Boncz-Bujnowicz wymachuje ramionami i woła do Muszki i Basi:

— Szanuję waszych ojców, ale nie miałbym zastrzeżeń gdyby panie chciały za mnie wyjść.

— Obie? — chichoczą.

— Oczywiście! Taka fohma małżeństwa byłaby najhwalniejsza. A może zatańczymy — zrywa się nagle. — Dla ahtysty samo picie nie wystarcza. Trzeba hozwinać skrzydła!

Farbon otwiera drzwi do dużego salonu, zbudowanego specjalnie na zamówienie przez jakiegoś Szwajcara. Jedna ze ścian jest ruchoma i po jej odsłonięciu można wyjść do ogrodu. Światło wpadające do salonu zostaje wprawdzie rozproszone przez specjalne pryzmaty, co daje złudzenie, że cały sufit jest pokryty fluoryzującą kolorową substancją. W niewielkiej niszy jest kominek z płaskowca, pokryty płaskorzeźbami. Gdy wchodzimy, w kominku płonie ogień. Obok stoi niewielki stolik, na którym umieszczono magnetofon.

Czuję się lekko, swobodnie. Gdzieś zginął mój bunt i mogłbym teraz śmiać się i skakać.

— No jak? — pyta mnie Gerard i znacząco klepie po plecach. — Wspaniali, co? To niekoronowani królowie. Przy ich pomocy możesz zrobić karierę.

— Uspokój się, uspokój. Zalatwię to. Wiesz, młody jeszcze, coś mu w tej lepe-tynie pewnie się przewróciło, no i zażądał po trzydziści. Zaraz jutro pogadam.

— On mnie zarżnie, zrozum.

— Nie bój nic, pogadam. Ale przysługa za przysługę: weź ode mnie ciasto. Po jaką cholere ciagniesz ciastka z Wilkowa? Puszczę ci po półtora, no? Masz złotówkę na każdym. Więc jak? Ja zalatwię ci karpie, a ty weźmiesz moje ciastka.

— Rozbójnicy! — charczy Brycz. — Rozbójnicy! Różną żywcem, jak barana!

— My siebie? Patrzcie go! A kto mnie podkupił dwa lata temu w Owilczy! Zrobięś po świńsku, tyle ci powiem.

Wycofuję się. Wracam do salonu i od razu porywa mnie Konkolowa. Jakiś twist. Piski, śmiech, szuranie po posadzce. Moja partnerka wygina się lekko, lubieżnie. Każde przegięcie, obrót, ruch bioder jest wyzwaniem. Jej taniec jest bezwstydny, a jednocześnie oszalamiający. Widzę tylko nogi i biodra, biodra i nogi, jak unoszą się i opadają, podrywają zupełnie blisko, gotowe w każdej chwili zatrzymać się w oczekiwaniu.

— Odbijany! — woła Gerard klaskając nad uchem.

Tańczę z Basią, z Muszką, która ledwo trzyma się na nogach, potem z Obalską, znów z Basią, jakiś czas kręcę się obok Boncz — Bujnowicza, na krótko dopada mnie Konkolowa, w końcu, gdy rozpoczyna się tango, staje przed Krystyną. Jej ręce są zimne i przez chwilę mam wrażenie, że w upalny sierpniowy wieczór dotknęłam sopła lodu. Gdy zaczynamy tańczyć, Krystyna przytula się, a moje wysiłki, by ją odsunąć, są daremne. Rezygnuję. Wyczekuję momentu, by móc jej podziękować. Jakby przeczuwając moje zamiary, Krystyna mówi:

— Proszę mi przyrzec, że dzisiejszy wieczór będzie pan tańczył tylko ze mną.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Jej włosy dotykają mego policzka. Pachną.

— Przepraszam, ale jestem pijany. Pijany człowiek winien iść do łóżka. A ja tańczę, wbrew logice. Czy to nie absurd? Żyjemy wśród absurdów i konwencji, których nie znoszę. Lepiej siądźmy.

Krystyna bez słowa zatrzymuje się. Podchodzimy do skórzanej kanapy, na której siedzą Konkol i Farbon. Opieram się o ścianę. Gdyby tak zasnąć...

— Bo popelniles bład — szepcze Farbon. — Skoro nie chciałeś zalatwić, trzeba było od razu do Szczepana.

— Szczepana nie było. Ministerstwo wysłało go do Włoch. Więc co mogłem?

— Przeciagać.

— Próbowałem. Ale ci z rady nadzorczej wpadli na to od razu. Zaczęły się interwencje: komitet, rada, związki. W końcu musiałem zrezygnować. Czy rozumiesz, co znaczy zrezygnować z paru milionów?

— Na twoim miejscu rzuciłbym to w diabły.

— Rzucił, rzucił, łatwo powiedzieć, rzucił. Ty rzuciłeś wszystko i co masz? Gołą pensyjke i pomoc przyjaciół.

A mógłbyś...

— Nie, nie nadają się do tego. Cenię

Schodzenie w sen

Miękość jest sen
Kiedy nas zawoła
Schodzimy tam po siedmiu małych stromych schodach
Pierwszy jest żal

niewielki lecz stromy

Drugi jest smutek ze śliską krawędzią

A trzeci niepoznanie Czwarły wszystko inne

Zaś trzy ostatnie już tylko pragnienie

A w głębokim podziemiu
A w ciemnej przedsielni
Mały obrzęd oddania spraw dziennych i własnych
Więc wieszamy na hakach wbitych w gęste ściany
Najpierw echo zmęczone od upartych kroków
Potem pot zmierzchu i ciężar od powiek
Później pamięć z rąk i oddech z wieczora

I teraz cię niosę
Ciebie

całkiem białą

Przez podziemne tunele kryte sinym pluszem

Zamykam cię rękami

Odejmuję głos

I w tych zajęciach które mgłą przypomną

Okrywa nas miękość

Zabiera nas sen

luty, 1968 r.

Agnieszka

Dla twego przyjścia Pani

Na dłoń niewidząca

Małą jak liść w strumienia gęstej wodzie

Wszystkie usła najczulsze

I osobne słowa

Przeznaczone dla zawsze bardzo drobnych istot

Na oczy nieotwarte

Na tę całą kruchość

Wszystkie ciepłe promienie i wieczny brzask letni

Białe morza i wszelkie głębie krajobrazów

Barwy proste i pastel rosnący jak deszcz

Na twoją bliską przyszłość

Cała wielka pora

Uniesionych kwiatów

Wskazywania śladów

Które ptaki zakreślą na przyjaznym wietrze

Cale słońce i świat szumiący jak muszla

Wszystkie pełnie Przyplwy

I otwarty dzień

14 stycznia 1968 r.

boszczyka. Upiję się, by zapomnieć, zasnąć.

— Mam cię wreszcie, niedobry chłopcze — krzyczy Konkolowa. — Tak się nie robi. Damy nie wolno zostawiać.

Jej ogromne oczy spoglądają wyzywająco. Jest bardzo ładna. Gdyby powiedziała: chodź! — poszedłbym nie oglądając się na nic. Ale mówi:

— Może się napijemy, jak myślicie? Nie, nie wstawajcie, przyniosę — i kołysząc się na długich nogach odchodzi. Krystyna jakoś gwałtownie tuli się do mego ramienia i bierze moją rękę w swoje zimne dłonie. Właściwie jest mi wszystko jedno, niech się tuli. Ta prosta pieszczoła jest pozbawiona znaczenia. Nie wiem, na co musiałaby zdobyć się, by wywołać pożądanie. Nawet ręce, które bezwładnie leżą na mej dłoni, są chłodne i obce. Przez chwilę wyobrażam te ręce, jak dotykają mego ciała, i robi mi się nieprzyjemnie.

— Trzymajcie kieliszki — Konkolowa podsuwa tacę. — Nalewam.

Farbon spogląda na mnie uważnie, a zarazem surowo. Ale cóż mnie może obchodzić jakiś tam Farbon, karzeł o małej twarzy, pijący drobnymi łyżkami. Pije jednym zrywem: głowa do tyłu, na dół, przeknięcie. Podstawiam pusty kieliszek i Konkolowa nalewa ponownie.

— Wspaniale! To rozumiem — wyraża swoje uznanie.

— Dziedziczność — oświadczam z powagą.

— Nie rozumiem. — Farbon patrzy wy-czekująco — Ojciec?

— Babka i matka — mówię nie drgnawszy nawet powieka.

— Ciekawe, bardzo ciekawe. Przeważnie mężczyźni...

— Jeden z chlubnych wyjątków. Babcia jest od dawna w stadium denaturatu i polity.

— Ach! — nie wytrzymuje Konkolowa.

— Leczą się? — dopytuje Konkol, chociaż w jego spojrzeniu dostrzegam kpinę.

— Nie pomaga. Ale przepraszam, dla mnie to są smutne wspomnienia, do których wolałbym nie wracać.

Milczenie. Farbon coś szepcze Konkolowi, a ten kiwa ogromnym hipopotamim łbem. Krystyna nadal opiera się o moje ramię. Obserwuję Konkolową, która raptem przygasa, zamilkła.

— Czy zechce pani zatańczyć z wnukiem i synem alkoholiczek? — pytam i biorę jej rękę. — Prawdziwa noc jest w ogrodzie, tu są tylko złudzenia, które chciałbym zatrzymać bodaj przez moment. Więc?

Krystyna zaczyna nagle mówić, usiłując mi przypomnieć o jakimś zmęczeniu, od-poczynku, ale jej głos oddala się, w końcu milknie.

Konkolowa znów uśmiecha się, kołysze biodrami, kusy. Przeszuję widzieć, postacie odpływają poza świadomość, pozostają tylko oczy i usta, to zbliżające się, to znów oddalające.

— Pani jest... — usiłuję powiedzieć to najważniejsze, ale nagle zdaje sobie sprawę, że same słowa to za mało. Tu trzeba czegoś więcej, ale czego, nie wiem sam, więc milknę i przyciągam do siebie te oczy i usta, by je upokorzyć swoimi oczami i ustami.

— Pan jest uroczy — mruczy. — Uroczy, naiwny, nieporadny. Szkoda, że urodził się pan tak późno.

— Pani...

— Wiem, wiem. Może także dziś chciałabym mówić o tym samym, kto wie. Ale dziś należymy do nich wszystkich, musimy być z nimi, to nasz obowiązek. No, chodźmy, chodźmy już.

Wracamy do stołu, gdzie podano flaczki: ostre, parzące, wspaniałe. Potem kawa. Gerard nachyla się przez stół i pyta: — Możemy zrobić małą przerwę w picu, jak myślisz?

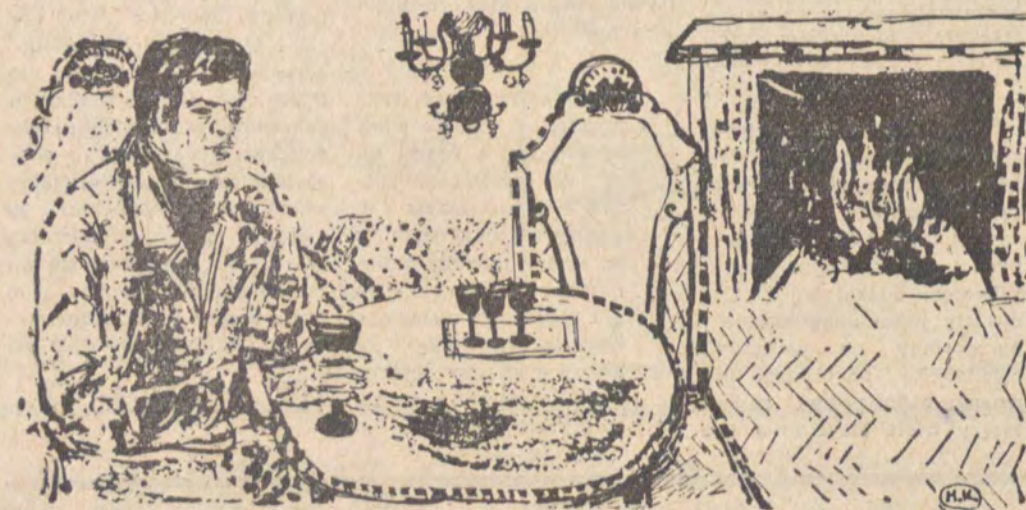
— Koniecznie — odpowiada za mnie Krystyna.

— Chwytam go za rękę.

— Słuchaj, urodziłem się za późno, czy to nie absurd!

— Tak, tak, oczywiście — kiwa głową bez przekonania. Ale wypij jeszcze jedną kawę, dobrze ci zrobi.

Fragment powieści pt. „Zmowa obojętnych”, która ukazuje się niebawem nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.



Rys. Magda Kapuścińska

Musisz się zaprzyjaźnić, szczególnie z Konkolem, to potęga. Tylko nie daj się uwieść Izie, bo zginiesz. Z jej rąk nikt jeszcze nie wyrwał się bezkarnie. A jest zachłanna, uważaj.

— Zwarowałeś! — Z babsztylem! Też coś...

— No, no. Nie takich lowiła... Chodźmy, włączymy magnetofon.

Zaczynają się tańce. Pań jest mniej niż panów, toteż istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że będę mógł urwać się wcześniej. Wracam do stołu, gdzie zastają Bryczę i cukiernika. Nachyleni, zajęci rozmową, nie zwracają na mnie uwagi.

— Bo chyba rozumiesz, że nie mogę mu płacić po trzydziści za kilo. No bo jaki to interes? Co innego po dwadzieścia dwa. Ja podaję karpia do ajerkoniaku, a jak nie podam, to pies z kulawą nogą nie zajrzy, rozumiesz? Słuchaj, przecież to twój szwagier, pogadaj z nim, niech się nie wygłupia. Niech zdziera ze spółdzielni. Co to, zapomniał już, kto mu zalatwił hodowlę, czy zaczyna się stawiać?

POLSKA POEZJA PIJANA

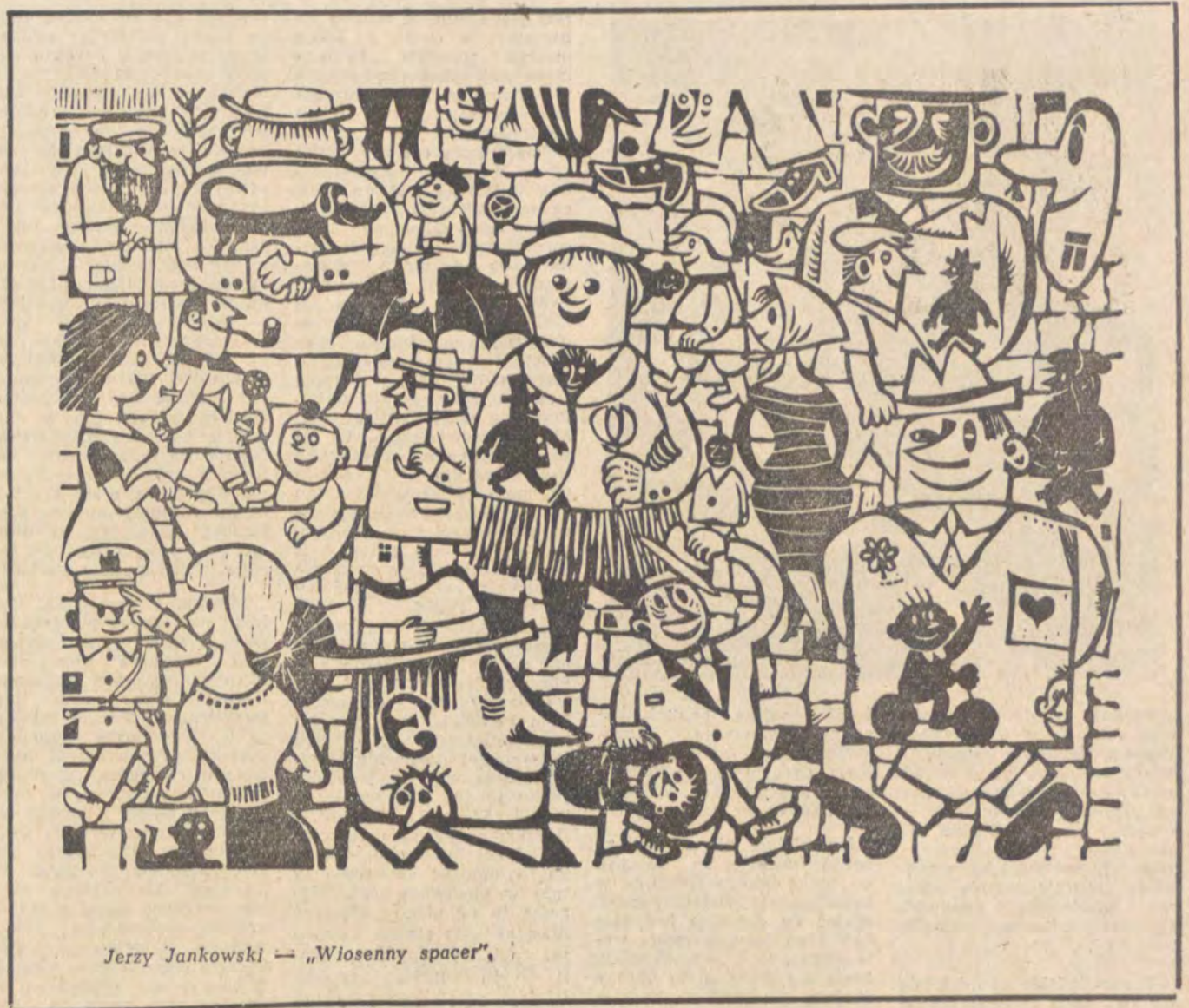
Odbił się trzeci już festiwal pod nazwą „Legnickie dni poezji”. Uczestniczyli w nim dziesięciu młodych poetów z Wrocławia, Opola i Zielonej Góry oraz licznie zgromadzona publiczność miasta. Uroczystości trwały dwa dni i odbyły się w ładnym społecznym klubie „Parnasik”, którego kierownictwo jest inicjatorem tej chwalebnej imprezy. Ma tutaj swój wkład także legnicki poeta Stanisław Srokowski. W pierwszym dniu festiwalu odbywał się konkurs recytatorski a wieczorem społeczeństwo miasta spotkało się z zaproszonymi na festiwal poetami w różnych klubach i placówkach kulturalnych. Drugi dzień poświęcony był, by tak rzec, poetom i poezji współczesnej. Odbyło się więc seminarium na temat: „Zjawiska poetyckie w okresie 25 lat Polski Ludowej”, które prowadził poeta i krytyk z Wrocławia Bogusław Żurkowski. Warto tu odnotować wartościowy głos Mieczysława Orskiego na temat tzw. lingwistycznej poezji twórczej przez młodych poetów wrocławskich. Mówca stwierdził, że wyjątkowo intelektualne i wtórność formalna jest wyróżnikiem tej poezji, z czym wypada się niestety zgodzić.

Tyle gwoli informacji. Nie pisalibyśmy o tym festiwalu być może w ogóle, ale skłaniając nas do tego refleksje szerszej natury. Otóż podobnych festiwali poezji namnożyło się ostatnio w kraju co najmniej kilka lub kilkanaście. Jednocześnie jednak słyszy się głosy o ciągle spadającej popularności poezji współczesnej, o zmniejszaniu się jej funkcji w życiu narodu. Problem to na pewno wielki i trudny. W tym miejscu jednak interesuje mnie najbardziej, czy festiwale wpływają na wzrost kontaktów między społeczeństwem a współczesną poezją. Nie znam z autopsji wszystkich tego rodzaju imprez, ale ta, którą widziałem w Legnicy, a także wiele innych widziałem wcześniej, nastroiła mnie pesymistycznie. „Gwóźdź” programu legnickich dni poezji miała być noc poezji i jazzu. To, co tam widziałem trzeba opisać ku przestrodze innym organizatorom podobnych imprez.

A więc godzina 20.00 — połączone prostopadłe do siebie dwie sale klubu „Parnasik” pełne publiczności, na stołach świece, elektryczności ani ujrzeć. Nastrojów prawdziwie uroczysty, podniosły. A więc poezja żyje w naszym narodzie! Pomyślałem sekundę o przedstawianiu tragedii w starożytnych Atenach — tam poezja, dramatyczna co prawda, była przez życie zbiorowym narodu. Czczono ją jak bóstwo. Niech więc dzisiaj choć odrobina nastroju z tamtych czasów spada na sale, w których odbywają się festiwale i wieczory autorskie. Tak myślałem, ale oto „gong” — poeci na start! Zasiadło ich dziesięciu za stołami. St.

Srokowski przedstawiał ich publiczności. Później mieli odczytać po trzy wiersze każdy. Tak więc 30 wierszy odebrała biedna publiczność w jak najgorszym czytaniu, bez elementarnego przestrzegania zasad kulturalnego wyrażania słów i zdań. Ponad godzinny bełkot! Nasi poeci współcześni prawie zawsze tak czytają, jakby się wstydzili swoich wierszy. Kurtuazyjne oklaski dla każdego. Ale — jeden z nich otrzymał lawinę oklasków. Nie za poezję bynajmniej, ani za czytanie, ale za komentarze, jakie przy okazji wygłaszał. Był komplementnie pijany i język odmawiał mu całkowicie posłuszeństwa. To się spodobało! Zyskał popularność i zarazem zniszczył siebie i swoich kolegów doszczętnie. Publiczność bowiem mogła sobie przypomnieć wtedy, obiegowe sądy na temat pijackich obyczajów niektórych znanych artystów i potraktować ten festiwal li tylko w warstwie anegdotycznej, jako materiał do opowiadania swoim bliskim o tym, jak to pewien poeta walczył z czkawką i sennością nad stołem prezydiatnym, lub jak puszczał pawia za ścianą zupełnie tak samo jak każdy uczciwy „męczyszyna” w Polsce. Tak to brak kultury obyczajowej u autorów degraduje ich dzieło w oczach publiczności.

Ale palicho autorów. Tutaj traci się więcej, bo szanse dotarcia współczesnej poezji do społeczeństwa, czy odwrotnie społeczeństwa do poezji. To sprawa delikatna — nie ploszyć potencjalnych odbiorców. A ludzie, zwłaszcza mieszkający z dala od centrów kulturalnych kraju,



Jerzy Jankowski — „Wiosenny spacer”

żądni są kontaktów kulturalnych i chcą poznać twórców. Ale twórców, nie blaznów! Chcą przeżyć estetycznych, a nie bełkotu, chcą wreszcie poważnych imprez a nie parodii. Obrazu zaś parodii zapoczątkowanej przez owego pijanego poetę dopełnili już w dyskusji nasładowy go artyści amatorzy, też pijani. Zrozumieli oni mianowicie, że to oni właśnie są powołani do rozważania problemów poetyckich. Do takiego wniosku ośmieliła ich być może bierność samych siedzących za stołem poetów. Ci ostatni w ogóle starali się jakby nie istnieć. Widocznie honoraria wypłacano im wcześniej (przeostroga — nie wypłacać za wczesne honorarium). A więc ci recytatorzy nie mając oczywiście pojęcia o poezji gadali dużo i zupełnie głupio o sobie, o trudzie, mecie i radościach związanych z pracą nad tekstem, co chwila czyniąc ukłony w stronę coraz to innego poety, że jego wiersz można doskonale recytować: „O ten, ten, nie pamiętam, ten drugi, niech go pan jeszcze raz przeczyta, doskonali do „robienia”.

Dyskusja więc zeszała na manowce. Nic tu nie mieli

do powiedzenia poeci, choć to był ich wieczór. Nieliczne ich głosy ginęły w lawinie pretensjonalnych wywodów infantylnych i pijanych recytatorów. Jeden tylko głos był mądry. Jeden! Nie wstyd wam poeci! Zamiast wy publicznością, to publiczność zawładnęła wami. Odczuł to widocznie też ów pijany poeta, o którym mowa wyżej, bo w pewnym momencie wznosił ręce do góry i omalże z płaczem wykrzusił, że pisze dla narodu, dla ludzi, że jego wiersze powinny być „konspektami do przeżywania” dla każdego obywatela. Cóż, kiedy w tym momencie obywateli siedzących na sali a więc chyba ci najwrażliwsi mieli wszystkiego dosyć.

Tymczasem za „kulisami” przygotowywał się do czytania utworów zgłoszonych na turniej jednego wiersza sławny tutejszy recytator reprezentujący w sztuce recytacji, jak to stwierdził, styl gniewny, buntowniczy. Więc ćwicząc interpretację buntował się przeciw... wierszom, które miał wygłaszać np.: „co ten autor (akcent na u) chciał tu powiedzieć”. A że setnie był sobie podpił, więc

bunt ten był dosyć szczery. Powiadają, że w zeszłym roku na festiwalu ten gagatek wywinął całkiem niezły „numer”. Powierzono mu także wiersze przybyłych tu poetów do recytacji na turnieju jednego wiersza o nagrodę publiczności, i ten przeczytał jak mógł najgorzej wszystkie z wyjątkiem swego (bo on też pisze), który ponoć znakomicie wygłosił. W ten sposób publiczność przyznała i nagrodę najgorszemu wierszowi. Obecnie ulitował się nad poetami, swojego nie przeczytał, ale ich utwory przeczytał okropnie, jakając się, przerywając sobie i blaznując. Jeśli zważymy, że wygłaszane na tym turnieju wiersze wcale nie były złe, niektóre zupełnie wartościowe, to otrzymamy obraz profanacji poezji, i kompromitacji poetów. A były wśród nich nazwiska uznane w skali krajowej jak choćby Stanisław Chaciński czy Bogusław Żurkowski.

Opisany wyżej epizodzik, powiedzmy sobie to szczerze, jest dość typowy dla tego typu upowszechniania kultury w Polsce. Największy

sukces odnoszą zawsze organizatorzy, zbierają pochwały na różnych konferencjach sprawozdawczych. Mogą się wykazać tzw. działalnością. Ale organizatorzy nigdy nie myślą o jak najbardziej efektywnych formach takich imprez, owszem co najwyżej o efektywnych. Nie chcą wiedzieć np., że słowo poetyckie, aby dotarło do widza i słuchacza, musi być podane przynajmniej w kulturalny sposób. W przeciwnym bowiem razie wywołuje niepożądane skutki. Cóż, apele takie pozostaną wołaniem na puszczy dopóty, dopóki w instytucjach i placówkach kulturalnych będą pracować na ważnych i mniej ważnych stanowiskach urzędnicy obojętni sprawom kultury; dopóki placówki kulturalne będą traktowane na tych samych zasadach co biura handlowe i gospodarcze tzn. li tylko z dbałością o wymogi statystyki i księgowości. Statystyka rośnie, ale czy także kultura?

Psychologia na wojnie

D. c. ze str. 5

lejnym, podpisem redaktora i nazwiskami stałych współpracowników, przynoszący najbardziej „nieprawomyślnie” informacje. Drugi taki numer, równie mistrzowsko podrobiony, ukazał się 16 października 1917 r. Kiedy in dziej do podobnych celów dywersyjnych spreparowano numer „Frankfurter Zeitung” (czerwiec 1917), rozesłany przez Szwajcarię w obrzynie ilości egzemplarzy do Niemiec, oraz gazinową „Gazette des Ardennes” (1918).

W marcu 1917 roku wykupiono w Szwajcarii wszystkie wolne numery mającego debiet na terenie Niemiec dziennika „Berliner Tageblatt”. Po paru dniach do redakcji poczęły napływać reklamacje niemieckich odbiorców pisma — okazało się, że numer zawierał dodatek, wymierzony przeciwko kolejnej niemieckiej wewnętrznej pożyczce wojennej. Jedną z bardzo udanych akcji było podrobienie bombastycznej odezwy niemieckiego namiestnika Alzacji i Lotaryngii. Plakat, wydrukowany na takim samym papierze i takimi samymi czcionkami, jak -ory-

ginalne niemieckie obwieszczenie, kończył się słowami:

„Cały świat walczy za naszą sprawę, gdyż jest ona warunkiem sprawiedliwości i wolności wszystkich narodów i nikt wbrew woli całego świata nie powstrzyma ręki sprawiedliwości. Nawet Cesarzski Namiestnik w Alzacji — Lotaryngii nie tu nie zmieni swymi protestami”.

Ostatnie sześć wyrazów wydrukowano pod podpisem na miastnika, ledwie dostrzegal nimi literkami. Tak spreparowane plakaty naklejano na oficjalne niemieckie afisze. Były one tak do nich podobne, że jeden podrobiony egzemplarz można było odnaleźć po wojnie w aktach namiestnictwa, złożony do archiwum... zamiast oryginału!

Anglicy i Amerykanie prowadzili podobną działalność propagandową, jednak na mniejszą skalę. Amerykanie wprowadzili typ ulotki naśladującej niemieckie kartki poczyt polowej, stanowiącej rodzaj przepustki dla żołnierzy oddających się w niewolę, a

także środki propagandy akustycznej, stosowane również na froncie włoskim. Obitę te nowe formy działalności dywersyjno-propagandowej znalazły swoje szerokie zastosowanie podczas II wojny światowej i późniejszych konfliktów zbrojnych. Trudno określić rozmiar propagandy przeciwnieckiej z czasów I wojny światowej. Główna Komisja Koalicyjna ogłaszała około pół miliona ulotek dziennie, na froncie włoskim rozrzucono ich w sumie około 80 milionów, Francuzi wydali około 45, Anglicy — około 30, Amerykanie — około 5 milionów ulotek i broszur. Razem skierowano ich przeciwko Niemcom około 165 milionów. Marszałek Hindenburg w odezwie z 2 września 1918 r. podał, że żołnierze niemieccy oddali: w maju 1918 — 84 000, czerwcu — 120 000, lipcu — 300 000 ulotek. Ile zaś nie odnaleziono czy nie oddano władzom?

Strona niemiecka nie miała w czasie I wojny światowej większych sukcesów za równo w walce z propagandą Sprzymierzonych, jak w

posługiwaniu się „bronią psychologiczną” w stosunku do swoich przeciwników. Zdawało sobie z tego sprawę niemieccy dowódcy wojskowi, politycy, a szczególnie kierownicy wywiadu. Nic więc dziwnego, że nazajutrz po przegranej wojnie niemieckiej koła wojskowe przystąpiły do wnikliwych studiów nad zagadnieniami propagandy i dywersji psychologicznej. Publikacje jednego z szefów wywiadu wojskowego z czasów wojny, ppłk. W. Nicolai i innych specjalistów stworzyły podwaliny pod budowę ogromnej hitlerowskiej maszyny propagandowej. Jej rozbudowa obudziła zrozumiałe niepokój w innych krajach, między innymi w Polsce. Zagadnienia wojny psychologicznej zainteresowały polskich teoretyków wojenskich, m. in. płk (później szego generała) S. Roweckiego, który poświęcił im w okresie międzywojennym szereg publikacji. Dały one oprócz innych doświadczeń teoretyczną podbudowę dla podjętej przez polski ruch oporu w czasie okupacji hitlerowskiej tzw. „Akcji N”,

o której głośno ostatnio w naszej prasie i publikacjach naukowych.

Chociaż przeciwnicy Niemiec hitlerowskich z ostatniej wojny nie mogli narzekać na brak sukcesów w zakresie stosowania „broni psychologicznej” okazało się, że doświadczenia hitlerowskie mogą mieć jeszcze i dziś duże znaczenie praktyczne. Nie tylko oficjalne enuncjacje, lecz także analiza amerykańskich metod wojny psychologicznej prowadzi do nieodpartego wniosku o jej goebbelsowskiej genealogii. Nie jest to jednak jedyne źródło doświadczeń i wzorów dla amerykańskich strategów zimnej wojny — przed Goebbelsem była wszak I wojna światowa.

JAN GRABOWSKI

* W piśmiennictwie polskim mamy na ten temat interesującą książkę P. Malczewskiego „Amerykańska wojna psychologiczna”, wydana przez Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej w 1964 roku.



Wydaje mi się nieco dziwnym fakt, że w kraju uchodzącym za arenę działania wielu zdolnych, ba — wybitnych wręcz i budzących ciągłą dyskusję scenografów — o samej scenografii pisze się niezwykle mało. Krytycy teatralni w swoich recenzjach zbywają zwykle oprawę plastyczną widowisk kilkoma konwencjonalnymi zdaniem,

Teatry łódzkie i działający w nich scenografowie są w specjalnie złej sytuacji. Łamy „Projekt” — najważniejszego bastionu publikacji aktualności scenograficznych — nader rzadko goszczą u siebie reprodukcje z łódzkich spektakli. Za interesowania koronnego recenzenta opraw plastycznych widowisk Zenobiusza Strzeleckiego, gawitują między teatrami Warszawy, Krakowa, Poznania i Gdańska.

A przynajmniej trzeba bezstronnie, że oprawa sceniczna wielu łódzkich przedstawień zasługuje na uwagę i szersze omówienie. Nie mam zamiaru kreślić tu historycznego wizerunku scenografii łódzkiej ani też omawiać twórczości scenograficznej wszystkich działających w łódzkich teatrach scenografów. — Chcę naszkicować sylwetkę jednego z nich, mianowicie Henri Poulaina. Sylwetkę tym ciekawszą, że Henri Poulain jest Francuzem od lat wojny osiadłym w Łodzi i autorem ponad 200 scenografii teatralnych i telewizyjnych. Przypnieć musimy, że tych dwieście ileś inscenizacji, to niezły kawałek historii scenografii łódzkiej.

Twórczość Henri Poulaina biegnie dwoma, pozornie odrębnymi nurtami, które w gruncie rzeczy dopełniają się i oddziałują na siebie wzajemnie. Malarstwo z jednej strony, a scenografia z drugiej zamykają krąg zainteresowań mieszcząc po-

środku grafikę, rysunek, ilustrację książkową. Usługi, jakie sobie wzajemnie te dwie dyscypliny świadczą, są bardzo wyraźne, a skala ich nad wyraz szeroka.

Długoletnie obcowanie ze sceną sprawiło, że zamyka on obraz bardzo szczerze w ramach rzeczowych powiek szając do dalekich horyzontów jego perspektywę wewnętrzną, jego „steryczność”. Stają się przez to te obrazy niejako lunetami na bezkres

ANDRZEJ GRUN

Francuz — łodzianinem czyli o scenografii

ne pejzaże ze sztafżem wprowadzonym lub zbudowanym w ten sam sposób w jaki to się dzieje na scenie. Są więc obrazy Henri Poulaina, „zbudowane” z elementów troskliwie i według pewnej myśli dobranych. Zbudowane jak scenografia — bo też są swego rodzaju scenografią, w którą wprowadzony zostaje aktor: Don Kichot, Aktor z lalką, Łasica — nie przestając mimo to ani na chwilę być malarstwem.

W ten sposób pojmowane malarstwo, odrzucające wszelką impresyjność, spekulatywne i uważne w doborze rekwizytu w efekcie daje dzieła zbliżone atmosferą i wyrazem do surrealizmu. Literackość zaś tego malarstwa wynika z długoletniego obcowania z teatrem. A z kolei zafascynowanie teat-

rem jest skutkiem miłości do literatury w ogóle, z którą plastyk współżył twórczo może najpełniej chyba właśnie w teatrze. Kimże bowiem jest scenograf? Dziś łatwo powiedzieć, że na pewno czymś więcej niż niegdysiejszy „dekorator teatralny”. Bez wątpienia jest on twórcą samodzielnym posiadającym własną koncepcję teatru, zdolnym nawiązać równorzędny dyskurs z reżyserem i co za tym idzie współtwórcą całości spektaklu. Istnieje bowiem w teatrze organiczna konieczność integracji. Tej naczelną zasadzie podporządkować się muszą i reżyser i scenograf i aktor. Powstają wtedy dzieła wielkie i przemawiające. W innym wypadku scenografia trwa sama dla siebie. A winna ona przecież spełniać funkcje jak najbardziej służebne przynajmniej w odniesieniu do tekstu i aktora. Z tych przesłanek w pojmowaniu swojej roli w teatrze wychodzi Henri Poulain. Tekst dla niego jest pewną wielkością stałą zaś znaleźć nie do niej właściwego klucza stanowi pierwszy i najważniejszy etap jego pracy. Tym bardziej, że Poulain nie specjalizuje się, a bierze na warsztat dosłownie wszystko. Jest więc w jego dorobku i de Ghelderode i Brecht, Słowacki, Beckett, i Hauptman, komedia francuska i Luigi Pirandello, — może na by mnożyć autorów i tytuły w nieskończoność. Wymaga to od niego ciągłego przestawiania się na tory co raz to innej konwencji, skali dramatycznej, epoki... Istnieje oczywiście przy tak

Wschód zaś — wielką ikoną ruską przesyłaną pierzastymi strzałami. Barok i surowy mistycyzm. W innym przypadku w „Żywocie Galileusza” symbol średnio-wiecznego świata odnalazł Poulain w widzianej od wewnątrz, ogromnej, renesansowej kopule która niczym kryształowe sklepienie nieba z przytwierdzonymi gwiazdami — planetami, rozpościła się nad ziemią — sceną. W miarę rozwijającej się akcji kopuła zostaje usunięta — geniusz Galileusza zburzył średniowieczną koncepcję świata, ukazał bezmiar możliwości ludzkiego rozumu. Hierarchię społeczną Poulain wyraził jak w diagramie kolorami kostiumów. Na ich tle tylko kostium Galileusza zmienia swoją barwę schodząc coraz niżej i niżej, aż do ostatniej warstwy społecznej, do plebsu, nobilitując go i odwracając tym samym ustaloną skalę wartości.

Mówiąc o scenografii Poulaina nie sposób pominąć za gadanie, któremu projektant poświęca szczególnie dużo uwagi. Mam na myśli kostium. Aktor wszak jest punktem, w którym zbiegają się wszystkie impulsy. Jest on zawsze owym centrum ostatecznym, „środkiem w środku”. Poulain, w zależności od tekstu i potrzeb inscenizacyjnych wybiera dwie możliwości: albo tworzy „postać” albo też „kostium”. W „Salomei” Słowackiego pragnąc stworzyć nową a jednocześnie osadzoną w naszej tradycji pojęciowej postać rycerza husarskiego wyszedł z baroku ale sięgnął aż po egzotycznego samuraję. Narodziła się w ten sposób sylwetka symboliczna rycerza w ogóle, oddziałująca przede wszystkim swoim klimatem ale posiadająca jeden rekwizyt rzeczywisty — skrzydła. I właśnie te skrzydła umieściły postać w odpowiednich ramach. Zahaczyliśmy tu o problem bardzo dla scenografii Poulaina istotny i charakterystyczny — o autentyczny rekwizyt, z którego o ile to jest możliwe artysta nie rezygnuje nigdy. „Szablę nie da się zastąpić widłami” — mówi Poulain.

Patrząc na scenografie Poulaina dostrzegamy swoisty ład jaki w nich panuje. Ład wyraźny, niemal klasyczny, że chciałoby się powiedzieć — grecki w dekoracjach architektonicznych; ład trudny do uchwycenia w dekoracjach malarskich, barokowych. Ład wynikający zarówno ze zrozumienia charakteru użytych materiałów, że świadomych rygorów technicznych, jak i ze ściśle określonych potrzeb ideowych i artystycznych dyktowanych trafnie odczytanym tekstem. Witruwiuszowska zasada „unitas in varietate” — jedność w różnorodności istnieje w przestrzenno-optycznych scenografiach Poulaina rzeczywiście. W jego malarstwie równo-

PODKA z książkami

„Z PSEM PRZEZ STULECIA”

„ORKAN NA JAMAJCE”

Ukazało się drugie już wydanie książki Hansa Bauera pt. „Z psem przez stulecia”, co jest świadectwem wielkiego popytu na tego typu lekturę w naszym kraju. Przekład dokonał zasłużony popularyzator wiedzy zoologicznej dr Jan Zabiński. Niestety, nie odczytał on niemieckiego tekstu z pewnych, nieznośnych sformułowań, przed którymi wzdraga się wrażliwość polskiego czytelnika. Bauer, na przykład, z pedanterią i godną lepszej sprawy skrupulatnością wylicza, ile dekagramów mączki mięsnej można uzyskać z jednego psa, ile zaś tłuszczu. Podaje też że za psią skórę można uzyskać w jego ojczyźnie 0,35 marek.

Tytuł książki jest chwytliwy, może on zwiastować niejednego przyjaciela psiego rodzaju. W rzeczywistości nie wydaje się, żeby Bauer przepadał specjalnie za czwornogami, które powszechnie uchodzą za wzór wierności i lojalności wobec człowieka. Zresztą w oryginalnej pracy niemieckiego zoologa nosi tytuł „Seine Ahnen waren Wölfe”, co tłumaczy się „Jego przodkiem były wilki” i chyba najwłaściwiej określa stosunek autora do całej „psiej sprawy”. Warto przy tym zauważyć, że badacz ten wymaga, aby nasza przyjaźń do zwierząt miała mocne podstawy zoologiczne, a to jest co najmniej dyskusyjne. Oczywiście wiedza nie zaszkodzi, trzeba jednak stwierdzić, że czytelnik nie wyniesie jej zbyt wiele z omawianej pracy. Dane w tym samym zakresie można znaleźć w każdej większej encyklopedii.

Co dziwniejsze karykaturalne niemal, zoologiczne widzenie Bauera przeplata się z fragmentami lekkostrawnymi, gdzie zużytkowano materiały anegdotyczne. Często grzeszą one po prostu naiwnością, czego najskrajwszy przykład znajdziemy w rozdziale zatytułowanym „Znamienici przyjaciele psów”.

K. F.

Hans Bauer: „Z psem przez stulecia”, Wiedza Powszechna 1968, str. 240.

Jedną z ostatnich pozycji wydanych w serii „Nike” jest powieść współczesnego angielskiego pisarza Richarda Hughesa pt. „Orkan na Jamajce”. Hughes-dramaturg, poeta, twórca pierwszego na świecie słuchowiska radiowego, zasłynął przede wszystkim jako autor dwóch powieści — wspomnianego już „Orkanu na Jamajce”, którym jako powieściopisarz zadebiutował i „Huraganu”, często porównywanego z Conradowskim „Tajfunem”. Działanie te powieści należą do klasyki literatury angielskiej. „Orkan na Jamajce” — powieść, którą nazwano „pierzchnym usta wywarem poczęty i wścieklej pierwotnej wyobraźni” przedstawia niezwykle przygodny grupie małych dzieci na pirackim statku. Dzielne to jednak dzieci, rządzące się własnymi, amoralnymi i nieprzeniknionymi prawami.

„... a dzieci są już ludźmi... Umysł ich nie jest głupi i bardziej niedołężny od naszego, na pewno: dzieci różnią się sposobem myślenia (myślą jak szaleńcy)” — powiada autor, burząc tym stwierdzeniem powszechne wyobrażenia dorosłych o psychice dziecka. Niepokojące są tu dziecięce zabawy, niepokojące ich niszczycielska niewinność zestawiona z doświadczeniami ludzi dorosłych, odpowiedzialnych za nienaczelne machinacje i wątpliwe wartości ich świata. Fantastyczna, niezwykle plastyczna i nie pozbawiona elementów makabrycznego humoru powieść Hugosa będzie szokować czytelnika. Przede wszystkim tym, że mimo pozorów okrutnej baśni, jest tak bardzo wiarygodna i realna.

B.M.

Richard Hughes — „Orkan na Jamajce”, Czytelnik 1968, seria „Nike”, str. 291, cena zł 19.—

PRZYRODA FAWORYZUJE KOBIECY

— Jeśli jedno z nas umrze — powiedziała pani Kowalska — to przeniosę się do miasta! — Stary dowcip, ale gorzka prawda dla pana Kowalskiego. Albowiem mając dokładnie tyle lat co żona, umrze on prawdopodobnie wcześniej. Mimo że przyroda obciąża kobiety pięknym obowiązkiem rodzenia dzieci, co związane jest z pewnym ryzykiem, żyją one jednak dłużej niż mężczyźni — poucza nas statystyka.

Nowoczesne metody statystyki umożliwiają dość dokładne obliczenie trwania życia, na które człowiek może liczyć. Nie można przystąpić tu szczegółowych da-

nach z wszystkich krajów. Wystarczy jeśli powiemy, że np. w Austrii niemowlę płci męskiej urodzone w 1967 roku mogło liczyć, chociaż jeszcze liczyć nie umiało, na dalsze 65 lat życia, ale niemowlę płci żeńskiej — pięć lat więcej. Ta pięcioletnia różnica między przeciętną długością życia mężczyzny i kobiety istnieje — oczywiście z odchyleniami — na całym świecie, niezależnie od rasy, narodowości, klimatu i poziomu cywilizacji. Do nielicznych wyjątków z tej reguły należą Indie, gdzie jeszcze dzisiaj panuje obyczaj kojarzenia małżeństw dzieci, co pociąga za sobą dla kobiet katastrofalne skutki. Ilość zgonów kobiet jest tam nieproporcjonalnie wysoka.

Jednak na ogół kobiety żyją dłużej niż mężczyźni. Umieralność mężczyzn jest większa niż umieralność kobiet tego samego rocznika. Biologiczny wysięg między płciami rozpoczyna się już w łonach matek. Dziwne, że na początku płci męskiej liczbowo przeważa, chociaż dużo jednostek tej płci umiera już podczas ciąży matki lub w czasie porodu. Tym niemniej do wysięgu biologicznego startuje 100 niemowląt płci podówczas jeszcze pięknej, w towarzystwie 105 do 108 niemowląt płci męskiej. Liczbowo przewaga chłopców nie trwa długo. Już w pierwszych latach życia rzędna męskie szeregi. Wygląda wprost na to, że przyroda w pośpiechu

ustanawia liczbową równowagę między płciami. Dokonuje ona tego krótko po okresie dojrzewania człowieka: wśród 15—do 19-latek i latków liczba chłopców i dziewcząt jest na ogół taka sama.

Później jednak szala zwycięstwa — jak mówią co inteligentniejsi sportowcy — przechyla się na stronę płci pięknej. Czy z korzyścią dla niej? Chyba nie bardzo. Zawsze i wszędzie liczba kandydatek do małżeństwa jest większa niż liczba kandydatów. Ta normalna nadwyżka kobiet oraz wynikająca stąd i z dodatkowych przyczyn nieproporcjonalnie duża liczba wdów — może za sobą pociągnąć poważne następstwa dla indywidualnego i społecznego życia. Gdy normalny stosunek liczbowy między kobietami i mężczyznami zostaje wskutek strat wojennych zachwiany, zdarzają się nie byle jakie tragedie. Warto jednak wspomnieć, że w takiej np. Szwajcarii, która już ponad sto lat nie prowadziła żadnej wojny, istnieje ośmioprocentowa przewaga kobiet nad mężczyznami. W Polsce nie powodzi się mężczyznom pod tym względem aż tak dobrze: na 15 przeszło mężczyzn przypada 16 — również z ułamkami — kobiet. W Łodzi panowie są także w mniejszości. Było nas 346,2 tys. wobec 400,3 tys. kobiet (stan w dniu 31. XII. 1946), w województwie łódzkim 809,5 tys. mężczyzn na 861,4 tys. kobiet.

Gdyby w tych sprawach obowiązywało prawo większości, to cywilizowanym światem powinny rządzić kobiety!

Jak dotychczas, nauce nie udało się odsonić rzeczywistej liczbowej dysproporcji zachodzącej między kobietami i mężczyznami. Wiadomo tylko, że dziewczynki rodzą się w biologicznie bardziej zaawansowanym stanie, że są znacznie odporniejsze na choroby, że wśród nich umieralność jest mniejsza — zarówno przed jak i po przyjsciu na świat. Można by przypuszczać, że po pomyślnym rozwoju w dzieciństwie i młodości następuje szybkie starzenie się kobiet. Ale tak nie jest. Również później organizm kobiety jest bardziej odporny niż męski, zdolniejszy do życia. W walce przeciwko chorobom i przeciwko śmierci płci męska jest płcią słabszą, w większym stopniu narażoną na wszelkie choroby, stawia im mniejszy opór, pada częściej ich ofiarą i to przeciętnie w młodszym wieku niż kobiety. Ta reguła odnosi się przede wszystkim do chorób serca i układu krążenia — z wyjątkiem chorób związanych z nadciśnieniem — odnosi się to do gruźlicy oraz do innych zakaźnych chorób, wyjąwszy koklusz, który — z niewiadomych przyczyn — atakuje częściej dziewczynki. Również rak stanowi większe niebezpieczeństwo dla mężczyzny niż dla kobiety.

Barczo krótki jest natomiast spis cho-

MÓJ ALEKSANDRÓW

Był czas kiedy wydawało mi się, że serdecznie nie lubię swego miasteczka, dziś wiem, że niechęć ta wynikała z niechęci do paru osób — dziś patrzę na to miasto z sympatią, choć nie zmieniłem zdania o niektórych ludziach. Chociaż... ludzie jak to ludzie — wszędzie są tacy sami.

Moje edukacje przypadły na lata wielkiej migracji — moi nauczyciele przybyli do tego miasta z różnych stron Polski — któż nas petaków miał uczyć lokalnego patriotyzmu? Więc wstydziliśmy się potem Aleksandrowa, przyznawaliśmy się chętnie do Łodzi wiedząc, że dla większości nazwa naszego miasta jest albo pustym dźwiękiem, albo co najwyżej skojarzy się z Aleksandrowem Kujawskim. Ale nie było w tym szczeniackim wpisywaniu się na listę łodzian zbyt wiele fałszu. Oba nasze miasta — i to wielkie i to małe — łączy zbyt wiele i zbyt blisko, łączy historia i dzień dzisiejszy, łączy także przyszłość, kiedy Aleksandrów stanie się integralnym składnikiem (także administracyjnym) łódzkiego zagłębia przemysłowego. Aleksandrów z Łodzią łączy jeszcze Tadeusz Kościuszko. Zafundowała sobie Łódź przed wojną pomnik Naczelnika — Aleksandrów też wy stawił figurę w parku. Oba zniszczyli hitlerowcy. Potem Łódź odbudowała swój — Aleksandrów swój.

Przemysłowe dzieje naszego okręgu zaczynały się także równocześnie. Prawa miejsc dla Łodzi nadane przez Władysława Jagiełłę nikną gdzieś w pomroce dziejów — króla nic nie kosztował ten pusty gest nobilitujący parę kurnych chat nad Łódką. Dopiero przemysł dał szansę zarówno Łodzi jak i Aleksandrowi. Tylko, że wówczas (niech się odezwie we mnie lokalny patriota) Aleksandrów był lepszy o stajanie. Czyli jak dziś się mówi o dwie długości.

W roku 1823 (rok po nadaniu praw miejskich) Aleksandrów zwany wówczas Fabrycznym albo Łęczyckim liczył sobie 215 majstrów tkackich. Była to liczba zawrotna, jeśli zwązamy, że Łódź miała ich wówczas... dziesięć. Aleksandrowskie prawa miejskie otrzymane w wyniku „rozpoznania” Rajmunda Rembielińskiego miały więc solidne podstawy i zaplecze ekonomiczne, a nie tylko iluzoryczny i pusty gest królewski.

Tuż za rynkiem na lewo jest maleńka uliczka prowadząca kiedyś na zaplecze nie mieckiego domu ludowego

pod wezwaniem muzy Polymymni. Uliczka ta nosi imię Rafała Bratoszewskiego.

Jedni się oburzają mówiąc: „założył Aleksandrów na kar tofliskach gminy Bruźca, a w mieście ma taką podgą i małą uliczkę...”

Inni się oburzają mówiąc: „Niemców sprowadził do Aleksandrowa i jeszcze mu ulicę dajemy...”

Skomplikowana jest widać prawda o panu Rafałku Bratoszewskim. Ale nie da się ukryć, że za jego sprawą do miasta istnieje, że z kartofliłsk wyrosły najpierw warsztaty, potem fabryczki... A dziś wiejka, najnowocześniejsza w Europie „Sandra”, w której parę tysięcy ludzi pracuje na nowoczesnych maszynach, z której elastilowe rajstopy i skarpety wędrują do kilkudziesięciu krajów świata.

Prawda o Aleksandrowie jest jednak skomplikowana. Nie znają jej tysiące moich współziomków, którzy przybyli tu „ze świata”. Nie zna młodzież, której nie ma kto uczyć historii tego miasta. Nie ma w Aleksandrowie ulicy Godeona Goedla — burmistrza z lat dwudziestych XIX wieku. A była to piękna postać, na wskroś polska, choć nosił obco brzmiące imię i nazwisko. Kiedy wybuchło powstanie listopadowe niemiecka ludność miasteczka ustosunkowała się do niego zdecydowanie wrogo. Mało tego — cech aleksandrowskich sukienników oficjalnie współdziałał z wojskami carskimi. A właśnie wtedy urząd municypalny na czele którego stał Goedel, wyprawił do Warszawy świętynie wyposażony oddział rzemieślników oraz miejscowego chirurga Hiszekorna, który miał nieść pomoc ranym powstańcom...

Goedel, Hiszekorn... Tak, tak, prawda o ludziach z tego miasteczka nie rządzi się schematycznymi stereotypami. Zawsze żyli tu obok siebie Polacy, Niemcy, Żydzi. W tym maleńkim tyglu wszystko to razem mieszało się i kotłowało.

Z czasów hitlerowskiej okupacji starzy robotnicy fabryki Schultza pamiętają młodzieńca — wnuka właściciela, który rzucił kamieniem na oszkłone dachy hal produkcyjnych i mówił do dziadka: „Jak ojciec wrócił, to wam tu wszystko potłucze”. Bo zięć starego Schultza był polskim oficerem i siedział w niewoli — we wnuku jak widać grała polska krew.

Tak, tak — nietatwa jest prawda o ludziach z małego Aleksandrowa. Przemieszało się tu wszystko i wielu sta-

łych „aleksandrowskich” Niemców o hitlerowcach mó wilo per „oni”.

Dość jednak historii. Dziś jest to miasto zupełnie inne — wśród tej wietolysycznej rzeszy rodowitych aleksandrowiaków nawet nie znajdziesz. Oczywiście są, ale znów przemieszało się z przy byszami, poženili — dziś już nikt nie rozgranicza kto „zza Bugu”, kto ze wsi... Tylko na nowym osiedlu w każdej niedzielę chłopskie furki przed blokami świadczą, że „lud wszedł do śródmieścia”. Zresztą „Sandra” potrzebuje ludzi, więc napór z okolicznych wiosek duży, a to co rodzeństwo „z gospodarki” splaci, można zainwestować w spółdzielcze mieszkanie. I tak się dzieje i stąd te corsa chłopskich turek przed blokami osiedla.

Pomyśli ktoś, że mam obsesję na kartofliłsku, ale skąd to się bierze? Na kartofliłsku wyrósł Aleksandrów anno 1822 za czasów Rafała Bratoszewskiego. Na kartofliłsku wyrosło to osiedle — szeregi wielkich bloków, szkoła, w planie pawilon handlowy z kawiarnią... Idąc co rano do szkoły zawsze szedłem „przez pole” — przez dzisiejsze osiedle. Wiosną ten ogromny szmat ziemi zieleniał, jesienią kurzył piachem rozkopanych redlin — dziś leżą tu betonowe chodniki, trylinka, stoją bloki.

Zostawmy jednak wzruszenia i analogie, bo wciąż mnie dręczy pytanie: „czym jest Aleksandrów”. Chyba jednak w dalszym ciągu nie dałem odpowiedzi. Zajrzyjmy może do encyklopedii — „...zwany dawniej Łęczyckim — tak, to już wiemy — założony 1818, jako osada sukienników — zgadza się — w 1961 roku ok. 13 tys. mieszkańców — no, dziś to już nieaktualne — ważny ośrodek przemysłu pończosznego — jeszcze jak ważny! — zabytkowy kościół św. Rocha... No i masz babo płacok! W wyznaniu rzymsko-katolickim autorzy encyklopedii nie byli widać mocni.

Kiedy przed laty ukazał się pierwszy tom WEP, mój znajomy wychwył ten błąd — kościół fundował Rafał Bratoszewski, jego doczesne szczątki leżą pod ołtarzem i oczywiście jego święty patronuje kościołowi... Mój znajomy jako człowiek pedantyczny — zachęcony zresztą apelem wydawnictwa polniformował redaktorów WEP o pomyłce. Żeby jednak swoją informację bardziej uwierzytelnić, poprosił na plebanii o przybicie pieczętki z pełną nazwą parafii na osobnej kartce, którą do listu załączył.

Otrzymał piękne podziękowanie z wydawnictwa, wraz z zapewnieniem, że w najbliższym wydaniu pomyłka zostanie sprostowana. List był zaadresowany: Aleksandrów Łódzki, ksiądz Kaczmarek”. Ale pointa jest inna — bardziej życiowa. W wydaniu B pierwszego tomu w dalszym ciągu figuruje Roch, co zapewne sprawa,

że Rafał Bratoszewski zgryzta zębami w podziemiach kościółca.

No tak, wzbogacił się o anegdotkę, ale odpowiedź...? Myślę, że Aleksandrów musi przyjmować za równo topograficzne jak i historyczne sąsiedztwo Łodzi z dobrodziejstwem inwentarza. Sąsiedztwo nad wiek wyrośniętej siostry Łodzi jest zjawiskiem pozytywnym. Setki młodych ludzi jeździ tu do szkół, tysiące ludzi do pracy — wciąż na linii 44 trwa ruch, nie ma prawie wcale „martwych godzin” w komunikacji. Nie jest problemem wyprawa do teatru, kina, na koncert czy zgoła do kawiarni. Podróż trwa raptem czterdzieści minut, częstotliwość kursowania tramwajów 10—15 minut, w nocy co godzina.

Praktycznie więc Aleksandrów ma status dzielnicy wielkiego miasta, korzysta

kręgu przemysłowego z jednej strony, a w samej Łodzi taka rotacja mieszkańców, że dla określenia (jeśli to oczywiście komu potrzebuje) skąd jesteś człowieku” — zarówno łodzianin jak i aleksandrowianin mówi „stąd”. Jeszcze tylko włościanie z kółka rolniczego Mikołajew trzymając biczyko w dłoni mówią na widok tramwaju 44 — „o, wsio wy jedzie”. Bo oni wprawdzie wsiowi, ale w granicach miasta.

Poza tym oba moje miasta — i to małe i to duże — żyją złączone stalową nicią szyn, nie zdarzają się jakieś większe bójkę na zabawach między Kochanówką a Aleksandrowem. I jedni i drudzy chodzili do tych samych szkół lub pracują na tej samej hali produkcyjnej „Elty”. A przecież pamiętam jak to było 15—20 lat temu — Romanów był linią demar-

kowi, że został prałatem...

Byłoby tanim efekciarstwem powtarzać aleksandrowskie ploteczki, bowiem takie same plotki dotyczące innych osób krążą na Teofilowie i Dąbrowie, na Karolewie i Stokach... Ot zwyczajny margines życia towarzyskiego każdej społeczności.

Zresztą dziś mamy telewizję więc nawet jeśli się plotkuje, to raczej na temat Irenej Dziedzic czy Holoubka. I to w całej Polsce.

A jeśli już o telewizji mówią to nie od rzeczy będzie się pochwalić, że przed laty defilowałem waląc w dach harcerskiej czapki przed samym kapitanem Klosssem vel Stanisławem Mikulskim. Było to właśnie na zapleczu uliczki Bratoszewskiego na miejscu spalonej przez hitlerowskich dywersantów „Polymymni”, a Mikulskiemu nie sniły się jeszcze filmowe przygody — był wówczas w harcerstwie i był kolegą innego aktora i (wówczas) harcerza Jana Machulskiego, który chodził w Aleksandrowie do gimnazjum a mieszkał najpierw koło lotniska a potem przy Traktorowej.

Zresztą, ho, ho — żeby wymieniać wszystkich moich starszych i rówieśnych kolegów! Miejsca by nie starczyło. Krzysiek w dalekim Maroku mierzy Arabom ziemię, Olek w PAN-ie oblicza jakieś tory lotów, dr Jaś D. naucza we Wrocławiu matematyki (nie minął się z powołaniem, siedzieliśmy w jednej ławce — znakomicie podpowiadał), dr Leszek W. zapuścił brodkę i zajmuje się fizyką teoretyczną na UE (często razem jeździmy tramwajem)...

Zaraz, zaraz... Zagalopowałem się. Miałem odpowiedzieć na pytanie, czym jest Aleksandrów. Więc?

Ostrzegalem — z Aleksandrowem sprawa nie będzie prosta. Bowiem administracyjnie jest miastem, faktycznie dzielnicą, ekonomicznie — przemysłowym centrum pończosznictwa (złóśliwi mówią, że herb Aleksandrowa to koza z zawiązaną na szyi pończochą), strukturalnie — zlepkim, socjologicznie — zadatką

A w ogóle o jaki Aleksandrów chodzi? Dla tych setek którzy z Łodzi przyjeżdżają tu do pracy — jest dziurą. Dla tych tysięcy, którzy stąd jeżdżą do pracy do Łodzi — jest domem. Dla tych, którzy przyszli tu ze wsi — jest miastem. Dla wszystkich — miejscem na ziemi, które się lubi lub nie, ale które dane jest każdemu człowiekowi na krótszą lub dłuższą część życia. Ot i wszystko. A gdyby przyszło mi odpowiedzieć na pytanie czym dla mnie jest Aleksandrów — rzekłbym: „Dla mnie jest pamięcią O wojnie i zabawach w wojsko. O szkole i kolegach. O najlepszych z nauczycieli — Lucjanie Kowalskim. O pierwszych dwóch i pierwszej miłości. O dzieciństwie”. I myślę, że dla wielu setek ludzi — rozrzuconych po Polsce i świecie Aleksandrów jest właśnie tym.



z niego i w myśl tego statusu żyje. Są w granicach wielkiej Łodzi rejony o wiele dalej położone od centrum jeśli weźmiemy pod uwagę komunikację. Trwa ciągle i nieprzerwany ruch na trasie — są ludzie, którzy tak jeżdżą bez mała ćwierć wieku. My — rodowici aleksandrowianie, a znamy się między sobą, przynajmniej z mojego pokolenia — mówimy o sobie, że „jesteśmy stąd”. „Stąd” — znaczy z Aleksandrowa, Zgierza, Łodzi, Konstancynowa, Pabianic... Nastąpiła bowiem taka integracja miasteczek łódzkiego o-

kacyjną, której przekroczenie groziło nabitym łajpem lub śliwką na czole. Tylko, że wówczas między Aleksandrowem a Łodzią odległość była nierównie większa. Dziś jest to de facto dzielnica Łodzi. Dość odległa dzielnica — to prawda — ze swoimi tkwiącymi jeszcze w małomiasteczkowej atmosferze ploteczkami i intrygami, ale gdzież tego nie ma! Gdzież nie ma nudzących się starszych (i młodszych) pań interesujących się wyłącznie sprawami bliźnich, gdzież nie ma przysłowiowych szewców zazdroścących kanoni-

rób, na które kobiety częściej zapadają niż mężczyźni. Na pierwszym miejscu figurują na nim choroby żołądka, trzy — do sześciokrotnie częstsze u kobiet, niż u mężczyzn, potem cukrzyca.

Naucze jeszcze nie wiadomo, co powoduje większą odporność kobiecego organizmu. W jego samoobronie prawdopodobnie pewne gruczoły odgrywają decydującą rolę. Prof. Hans Selye dowiódł swoimi rewelacyjnymi doświadczeniami, że organizm odpowiada na każdy atak (jak infekcja, zranienie oraz na fizyczne albo nawet tylko psychiczne nadwężenie) dobrze zorganizowaną akcją odporu. Wydaje się, że system obronny kobiecego organizmu jest w porównaniu z męskim bardziej rozwinięty i silniejszy.

Do licznych niewiadomych tkwiących w naszym problemie dochodzi jeszcze sprawa wpływu otoczenia. Wygląda na to, że dobrobyt i postęp działają przede wszystkim i w coraz to większym stopniu na rzecz kobiet. Statystyka stwierdza — nie bez obawy — że od 1900 roku przewaga kobiet nad mężczyznami pod względem długości życia zwiększyła się przeciętnie o dwa lata, oczywiście z odchyleniami w dół i w górę. Światowy rekord ustanowiły Amerykanki, które pozostają o sześć lat dłużej na tym padole niż Amerykanie.

Również Francuzki i Angielki nie spieszą do raju i prawie dorównują w tej mierze Amerykankom.

Powiedziano, że postęp medycyny i higieny działa przede wszystkim na rzecz kobiet; umieralność wskutek gorączki pologowej — ongi siejącej śmierć — zmalała obecnie do nader rzadkich przypadków. Według statystyki Światowej Organizacji Zdrowia koklusz czyli krztusiec zabija jeszcze dziś więcej dziewczynek niż chłopców i razem więcej niż wszystkie pozostałe choroby infekcyjne. Ale koklusz powoduje obecnie tylko trzy procent tej ilości zgonów, której przyczyną był w roku 1900. Dalej: od czasu stosowania insuliny, cukrzyca, na którą kobiety częściej zapadają niż mężczyźni, bardzo dużo straciła ze swej grozy.

Wśród przyczyn zgonów pierwsze miejsce zajmują obecnie rak i „choroba menażerów”. Również w tych przypadkach przyroda jest stronnicza. Rak, atakujący u kobiet przede wszystkim piersi i narządy rodne, jest w takich razach łatwiej i wcześniej rozpoznawalny. Wczesna diagnoza umożliwia ocalenie życia. Natomiast przy padki raka płuc i żołądka, znacznie częściej u mężczyzn i trudniejsze do rozpoznania, kończą się w wielu wypadkach śmiertelnie.

Ilość śmiertelnych zawałów serca wskutek „choroby menażerów”, angina pectoris, czyli wieńcowej choroby, jest wśród kobiet nieproporcjonalnie mała. Dlaczego? Na to odpowiadano, że przeważnie narażeni są na nią mężczyźni, którzy żyją w ciągłym napięciu nerwowym, goniąc na odpowiedzialnych stanowiskach za sukcesami, a więc przedsiębiorcy, dyrektorzy, adwokaci, lekarze. Taka była legenda o „chorobie naszej epoki”. Ale nie tak dawno brytyjscy statystycy stwierdzili, że sprawa ma się zgoła inaczej. Pracodawcy i menażerowie żyją dłużej niż robotnicy. Również adwokaci i lekarze osiągną starzy wiek niż robotnicy przemysłowi. Nerwowe napięcie odpada jako jedyna przyczyna choroby wieńcowej, jeśli się tej tezie przeciwstawi fakt, iż podczas drugiej wojny światowej w bombardowanych miastach, więc w warunkach najwyższego napięcia nerwowego, ilość przypadków „choroby menażerów” spadła zamiast się powiększyć!

Jak wynika z powyższych faktów, stałym napięciem nerwowym, w którym żyją mężczyźni goniący za sukcesem, nie da się wytłumaczyć, dlaczego choroba wieńcowa i zawał serca oszczędzają kobiety. Zagadka pozostała zagadką. Może będzie kiedyś rozwiązana i może tędy droga: w miastach kobieta używa więcej ruchu niż

mężczyzna — dzięki pracy domowej i codziennemu zakupom. Amerykanie stwierdzili, że pracujące w gospodarstwie domowym kobiety dłużej żyją niż panie, których stać na pomoce domowe. Ogólnie biorąc kobiety żyją pod wieloma względami roztropniej niż mężczyźni, palą mniej, piją mniej alkoholu, nie przebywają tak długo w samochodach jak mężczyźni, którzy jakoby w skurczu, w wysokim napięciu nerwowym siedzą przy kierownicy tykając trującą wyziewy ruchu samochodowego.

Ale wszystko to nie wytłumaczy, dlaczego przyroda proteguje kobiety a uwzięła się na mężczyzn — od oseska począwszy,

(Opr. L. B.)

*) Według Rocznika Statystycznego 1947 (str. 85 dział „Ludność”, tabl. 44) przeciętna liczba lat całego trwania życia noworodków z lat 1963—1965 przedstawia się następująco:

	meński	żeński
Polska	67,5	73,4
m. Łódź	67,4	74,1
woj. łódzkie	66,6	72,5

Tylko poeta?

Kto? Jerzy Waleńczyk w swym najnowszym zbiorze wierszy pod tytułem „Dyliżans” Tytuł przewrotny, bo słowo staroświeckie, a treść aż gorąca od świeżości doznań i przeżyć. Oczywiście osobistych autora, ale ponieważ jedzie on dyliżansem, więc i nie osobistych, tylko takich, które będąc osobistymi są zarazem wspólnymi. A ten znów dyliżans to okazuje się w miarę czytania wierszy, że jest metaforą czyli przenośnią, bo nas przenosi w sferę zagadnień ogólnych życia, rzekłbym nawet, w sferę kosmiczną. Rzeczywiście — w erze rakiet międzyplanetarnych i planowanych lotów kosmicznych trudno nie zastanawiać się nad sensem życia ludzkiego w wymiarach ponadziemskich. A jednak proporcje ziemskie wciąż nam przy pominają o naszych ograniczeniach i nakazują pokorę wobec świata rzeczy i zjawisk najmniejszych, a właściwie tak nikłych, że wprost niewymiernych, a przez to zyskujących wagę i ważność tak zwanych imponderabiliów, ostatecznie decydujących o naszym być lub nie być. Te właśnie imponderabilia, niepodległe żadnym ziemskim czy kosmicznym miarom, a dostrzegalne jedynie w momentach osobliwego usposobienia, zwanego stanem inspiracji, są przyrodzoną domeną poezji. Człowiek odczuwający te niedostrzegalne dla innych imponderabilia jest poetą.

Jerzy Waleńczyk jest poetą. Ale czy tylko poetą? Być poetą to bardzo wiele, ale o wiele za mało. Żaden prawdziwy poeta nie chciał być nigdy tylko poetą. Ani Kochanowski — ani Rimbaud, ani Villon — ani Norwid, Wyspiański wołał „Poezjo, precz! Jesteś tyranem!”, a Leśmian miał w pogardzie tych poetów, których „słowo się nie spokrew

nia z pozasłownym trwaniem”. Waleńczyka przylapu jemy w każdym prawie wierszu na tym „spokrewnianiu się z „pozasłownym trwaniem” Od niewymiernych imponderabiliów odczuć i przeczuć rwie się co rusz ku pochwyliwemu mięsu życia. Aż ociekającego od aktualności. Odczytajmy wnikliwie choćby takie zdanie: „Pluskwy wychodzą z cegiel nowych, wypalanych ogniem miłości”. To zdanie jest zdaniem poetyckim, a więc zawiera więcej treści domyślnej, niż suma treści każdego ze słów. To zdanie zna czy — i trzeba umieć je odczytać nie tak, jak zdanie z gazety, ale jak zdanie poetyckie o ukrytej treści, którą wyobraźnia czytelnika w oparciu o doświadczenie społeczne potrafi spomiedzy słów wydobyć i prawidłowo odczytać. To bardzo rzadkie zdanie jest wynikiem obywatelskiego zaangażowania poety.

Takie wiersze Waleńczyka z ostatniego zbioru, jak „Praktyka”, „Fascynacja”, „Pieśń Aleksandra Wielkiego”, „Milion dwieście tysięcy żołnierzy”, „Cztery pory roku”, „Zwierzę”, „Mogła to być forma”, mimo dostrzegalnych wpływów przede wszystkim Miłosza i Herberta, należą — moim zdaniem — do najlepszych, jakie stworzył jego pokolenie. „Dyliżans” Jerzego Waleńczyka to prawdziwa niespodzianka dla miłośników poezji, światła dectwo żywotności twórczej łódzkiego środowiska poetów, nowy, kolejny jego sukces, który postawić należy tuż zaraz obok „Metafizyki” Jarosława Marka Rymkiewicza, „Z notatnika prowincjusza” Zygmunta Fijasa, „Starszego o głowę” Zbigniewa Kosińskiego i „Jesieni z Judaszem” Mieczysława Michała Szargana. A na zakończenie strofka z najlepszego w tym tomie utworu „Stara kobieta z chlebem”, który jest miarą siły ewokacyjnej i realizmu lirycznego tej poezji:

Tramwaju moich przeznaczeń,
Umarli, nie narodzeni.
Wędrowko, co znasz granice,
Ślodyczy, precz! Jesteś tyranem!
Wiatr waha się jak polityk
Przed wielkim eksperymencie
Między szaleństwem i mrokiem
Jest małe życie poczęte.



Ferenc Bardás: „Dziewczynka z ptakiem”, Grafika.

spektakle tygodnia

	Spektakle	Widzów	Procent
TEATR WIELKI	„Romans gdański”,	2	1520 100
	„Książ Igor”,	1	1260 100
	„Così fan tutte”,	1	1260 100
	„Rigoletto”,	1	1260 100
	„Cyrułek sewilski”,	1	1260 100
NOWY	„Dziś do Ciebie przyjdę nie mogę”,	5	3500 100
	„Śluby panieńskie”,	2	1000 80
	„Zeglarz”,	2	1400 100
	„Złoty wiek”,	2	1400 100
MAŁA SALA	„Księżyc świeci nieszczęśliwym”,	2	400 100
	„Bliski nieznamy”,	4	600 75
	„Księżyc świeci nieszczęśliwym”,	2	400 100
POWSZECHNY	„Taniec śmierci”,	1	550 86
	„Kawior i kaszanka”,	2	1320 100
	„Rzecz listopadowa”,	1	520 85
	„Turniej z czarodziejem”,	1	660 100
JARACZA	„Wesele”,	2	1004 88
	„Każdy kocha Opalę”,	3	1260 70
7.15	„Znamy Cię tylko z widzenia”,	3	1251 99
	„Poskromienie złośnicy”,	2	1260 100
OPERETKA	„Turniej w Rio de Maracasso”,	6	5698 86
	„Fircyk w załotach”,	6	1280 73
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ	„Mieszczanie”,	2	768 97
	„Psy”,	2	523 74
FILHARMONIA	koncerty symfoniczne	2	816 słuchaczy

OBIEKTYW

Różne bywają niespodzianki

Od rana korci mnie, żeby się powychylać. Szukam w pamięci, dokonuję błyskawicznego przeglądu programu telewizyjnego w ciągu ostatnich dni... I mam! „Niespodzianka” Karola Huberta Rostworowskiego nadana przez Teatr Telewizji Warszawskiej w dniu 17 bm. W adaptacji i reżyserii Ireneusza Kanickiego.

Rostworowski cieszy się opinią tego dramaturga, a „Niespodzianka” należy z pewnością do najlepszych jego utworów scenicznych. Obok „Judasa z Karlohu” i „Kaliquli”. Sam spektakl telewizyjny przygotowany był starannie ze znakomitą obsadą ról głównych i z wokalizą Bairda, dodającą naturalistycznej fabule dramatycznej głębi.

A przecież mam wątpliwości, czy Teatr Telewizji posiadający największą widownię w kraju dokonał w tym wypadku słusznego wyboru repertuarowego. Zdaje się, że bez większego przekonania zachęcał tym razem do obejrzenia spektaklu docent Treugutta. Jego słowo wstępne przed „Niespodzianką” wyraźnie odbiegało od poziomu, do jakiego nas świetny teatrolog przyzwyczaił.

Między innymi w wypowiedzi Treugutta znalazł się taki mniej więcej passus: nie z wszystkimi poglądami pisarza możemy się dziś zgodzić. Myśl ta nie znalazła w dalszym ciągu pretekstu żadnego rozwiniecia i o to mam do Treugutta pretensje.

Rostworowski był nie tylko pisarzem, ale także publicystą i działaczem politycznym, przez całe życie związanym z reakcyjnym skrzydłem polskiej prawicy. Przynależność do Obozu Wielkiej Polski, a potem — w latach trzydziestych — do Stronnictwa Narodowego mówi za siebie. A zatem stormulowanie Treugutta zabrzmiło mi co najmniej eufemistycznie.

Ponadto jeżeli sięgamy po pisarza, o którym młode pokolenie wie niewiele, nie wolno chyba właśnie w telewizji rezygnować z informacji o jego obliczu politycznym i ideowym. Wstydlawe przemilczenie zachowawczej postawy Rostworowskiego i jego negatywnego stosunku do rewolucji społecznej wydaje się postępowaniem błędnym.

Nie oznacza to, oczywiście, że festem przeciwny wystawianiu „Niespodzianki” ze względu na poglądy ideowe autora. W takim razie nie należałoby wystawiać „Nieboskiej komedii” Krasńskiego. Respektując proporcje talentu na korzyść autora „Nieboskiej”, stwierdzić można, że i Krasński i Rostworowski, nie rozumiejąc historycznych sprężyn rozwoju społecznego, potrafili tworzyć realistyczny obraz konfliktów będących przyczyną zmian rewolucyjnych.

Jeżeli więc „Niespodzianka” w telewizji przyniosła mi pewne rozczarowanie to ze względów pozateatralnych. Zaskoczyło mnie wprost zniżenie się walora poznawczego i nośności słowa w dramacie Rostworowskiego. Nie wystarczy powtarzanie w kółko, że dramata rodzinny w „Niespodziance” nabiera formatu tragedii greckiej. „Elektra” i „Medea” zachowała swój uniwersalistyczny wymiar, mimo upływu ponad 2000 lat. Sztuka Rostworowskiego już po 40 latach brzmi trochę anachronicznie.

I tu nasuwa mi się pozorny paradoks. Otóż w pewnym sensie mam pretensję do Ryszarda Hanin i Tadeusza Fijewskiego, że znakomitą grą starali się niejako przestonąć nalowności i stylizacyjną manierę „Niespodzianki”. Scena poprzedzająca zabójstwo zagrana była — zwłaszcza przez R. Hanin — koncertowo. Aktorka zaprezentowała nam zrodzenie się zbrodni decyzji z precyzją psychoanalizy. Jej przeraźliwy spokój i tylko lekkie drżenie sygnalizujące wewnętrzne napięcie wymagałoby osobnego wręcz omówienia.

Wydało mi się jednak, że tekst nie był na miarę aktorskiego przeżycia. Że to, nie słowo Rostworowskiego uskrzydliło aktorów, ale przeciwnie oni, nadawali słowu nieefektywną zasłonę range. Czterdzieści lat, które nas dzieli od prapremiery „Niespodzianki”, wpisali w księgę wiedzy o człowieku tyle nowych doświadczeń, że rewelacje psychologiczne Rostworowskiego przestały być rewelacjami, a „Niespodzianka” przestała być niespodzianką.

Zdaje sobie sprawę z tego, że sąd mój w tej sprawie jest bardzo kontrowersyjny. Nie sądzę jednak, by spucznie literacka, nawet tę opromienioną świetną renomą, przyjmować bezdyskusyjnie, powieść stare sądy. Nie możemy odrywać się od tradycji, ale nie możemy sięgać do niej na zasadzie niewzruszalnych aksjomatów i nierewidowanych stereotypowych sądów.

Na przykład teraz w roku jubileuszowym nie akceptujemy bezkrytycznie całej twórczości Wyspiańskiego. Wystawiona ostatnio w Warszawie „Kłątwa” (z której klimatu przejęła coś „Niespodzianka”) określana jest jako jedno ze słabszych dzieł wielkiego dramaturga. Nie zrobili więc chyba źle, dzieląc się z czytelnikami swoimi wątpliwościami na temat „Niespodzianki”.

Władysław Orłowski

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Powrót do starych lektur książkowych jest zjawiskiem zupełnie naturalnym. Inny tok życia filmu zdeterminowany dystrybucyjnymi ograniczeniami przekreśla możliwość wracania do lektur filmowych. Powrót na ekrany kin „CENY STRACHU” Henri Clouzota, jednego z największych szlagierów ekranu połowy lat pięćdziesiątych, jest zatem zdarzeniem dość wyjątkowym, które, wgrzyść należy, usatysfakcjonuje zarówno tych, którzy ten film jeszcze raz sobie przypomniać jak i widzów nowych, których przekona, że naprawdę dobry film nie starzeje się zbyt szybko.

W 1953 roku film Clouzota był wydarzeniem artystycznym, które uhonorowano na

wet Złota Palma w Cannes, dziś tej nagrody chyba by już nie uzyskał, pozostał jednak nadal przykładem znakomitej pracy reżysera i świetnych kreacji aktorskich. W filmie tym znaleźli duży sukces aktorskiego sukcesu znani dziś Yves Montand i Peter van Eyck, potwierdził swój talent Folco Lulli, a Charles Vanel dał chyba najmocniejszy dowód wielkiej tradycji francuskiego aktorstwa. Zdarzałoby się, że czternaście lat, które dzieli nas od polskiej prapremiery „Ceny strachu” zdołało nas już przyzwyczaić do odbioru dużej porcji emocji, której towarzyszył strach i przerażenie. „Sus pense” Clouzota pozostał jednak utworem, z którym lada „dreszczowiec” konkurować

nie może. Zwycięstwa „Ceny strachu” upatrywać jednak należy nie tylko w znakomitej realizacji tej części filmu, która obrazuje podróż czterech strażników wiozących śmierć zaczynając w galonach nitrogliceryny. Clouzot nie poprzestął na argesywności swych opowieści, która atakuje widza w sposób bezkompromisowy, nie pozwalając na chwilę oddechu, na mały choćby spadek napięcia. Clouzot jest bezlitosny, każe nam zatracić się w tym napięciu, odczuwać strach tak jak go przeżywają bohaterowie opowieści. Przekroczył w ten sposób barierę „bezpiecznego strachu” typowego dla filmów, których znakiem jakości jest tylko rozrywka. Sądzę, że osiągnął to podbu-

dowując swój film mocnym tłem społecznym i znakomitą analizą psychologiczną postaw moralnych swych bohaterów. Krańcowo pesymizm filmu Clouzota wstawa z tą społecznego tego studium na temat strachu. Wielka gra życia i śmierci jest zdeterminowana losem społecznym bohaterów filmu, z tego losu wzięcia innego niż śmierć nie ma. Dlatego też nie pomaga nasz bunt przeciw temu, że cała sprawność, szaleńcza, desperacka odwaga, walka ze strachem idą na marne. Jeszcze raz los, w tym wypadku lasno zdefiniowany, jest silniejszy od człowieka nawet wówczas, gdy zdoła ona przezwyciężyć sam siebie, swój strach przed śmiercią.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



„KOLEKCJONER” Williama Wylera to film, który również przywodzi na myśl stare lektury. Przed kilku laty niezastąpiony kiedyś „Przechról” raczył nas odcinkami powieści J. Fowlesa „Kolekcjoner”, teraz oglądamy ją w filmowej realizacji Wylera. W ręku mistrza hollywoodzkiego kina ta lrytująca i blaha opowieść uzyskała znacznie ciekawszą rangę zarówno problemową jak i artystyczną.

Historia uwieszenia młodej dziewczyny przez zakochanego w niej młodzieńca rozegrana została na krawędzi ciekawego studium psychopatycznej osobowości bohatera i obyczajowego „horroru”. Obserwując tę

przedziwną historię zastanawiać się jednak musimy czy psychopatia leżała u jej źródła czy stała się jej następstwem. Bohater filmu Freddie nie jest bowiem szaleńcem w sensie klinicznym. Motyw jego działania jest najnaturalniejszy — pragnie zdobyć miłość dziewczyny. Dopiero jego realizacja ma pewne znamiona obsesji. Wynika ona jednakże z faktu, iż Freddie nie widzi dla siebie i swej miłości miejsca w świecie, z którego porwał swą dziewczynę. Jest zbyt inteligentny byśmy nie mogli uwiaryć, że nie potrafiłby się w nim znaleźć, on po prostu nie akceptuje tego świata. Pragnie miłości wyłączonej, ucieka od świata pozorów. Zafascynowany w swym pragnieniu

stwarza sytuację absolutnej izolacji, w której jednak umierała nie tylko jego motyle. Freddie przegrzywa, gdy jest już bliiski wygranej, przegrzywa, bo chciał zadać gwałt ludzkiej naturze i jej przyzwyczajeniom.

Największym sukcesem Wylera — reżysera i parv młodych aktorów Samantha Eggar i Terencea Stampa jest znakomite oddanie owej atmosfery zamknięcia, izolacji, niebezpieczeństwa, która dominuje w filmie. Akcja filmu sprowadzona została do jednego konfliktu dramatycznego, stosunku uczuć między „kolekcjonerem” i jego ofiarą. Opis tych uczuć odznacza się drobiazgowością doskonałą, która w wypadku tego

filmu stała się podstawowym atutem reżyserii. Właśnie drobiazgowy opis sytuacji, zmiennych nastrojów i uczuć bohatera, wypełnia film tworząc klimat niepokoju i oczekiwania, dzięki któremu napięcie nie opada nigdy poniżej normy, którą reżyser z góry określił.

„Kolekcjoner” to jeden z tych filmów, które budzą szacunek dla rzetelnego rzemiosła i stawiają w wątpliwość możliwość bardziej powszechnego lego ujęcia. Ta wrażliwość rodzi się wówczas, gdy prace prawdziwych mistrzów rzemiosła filmowego porównujemy z powodziami dzieł tak nijakich, że nawet nie czeladniczych.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



HECTOR BERLIOZ

● Sto lat temu, w marcu 1869 roku zmarł francuski kompozytor, wybitny instrumentator, twórca pierwszych symfonii programowych, Louis Hector Berlioz. Sławny za życia dzięki karykturom i złośliwościom jakich mu nie szczędzono, mniej był wówczas znany ze swych wybitnych, choć kontrowersyjnych utworów muzycznych, dziś zaś uchodzi za twórcę francuskiego romantyzmu w muzyce, którego w swoim czasie był jedynym i znakomitym przedstawicielem. Zycie w świecie społecznym burzliwej epoki Ludwika Filipa, w świecie opanowanym żądzą bogactwa i sławy, Hector Berlioz nie mógł zdobyć uznania na jakie zasługiwał.

Urodził się jako syn lekarza, drobnego właściciela ziemskiego w roku 1803 w La Cote-Saint-André w południowo-wschodniej Francji. Dość wcześnie zapoznaje się z muzyką. Jest jeszcze dzieckiem gdy ojciec uczy go gry na fortepianie i flecie. Kiedy Hector liczy sobie lat trzynaście zakochuje się w 18-letniej Estelli Dubouef, a ta chłopięcą miłość długo pozostanie w jego pamięci.

Kiedy ma lat 14 pobiera systematyczne lekcje śpiewu i gry na skrzypcach. Już wtedy komponuje pierwsze utwory muzyczne. W 1821 r. za usilną namową ojca, rozpoczyna studia medyczne w Paryżu. Nie zaniebując swych zainteresowań muzycznych kształci się w tym kierunku, wreszcie porzuca studia medyczne i zapisuje się do Konserwatorium. Stale komponując wyjeżdża w roku 1831 do Włoch. Potem wraca do Paryża, by od 1845 roku dawać koncerty w wielu krajach: m. in. w Austrii, Niemczech, Rosji, Włoszech.

Umiera w roku 1869 pozostawiając bogaty dorobek muzyczny: trzy opery, wiele utworów chóralnych, orkiestralnych, utwory na instrument solowy z orkiestrą, na głos i orkiestrę, na głos i fortepianem i wiele innych kompozycji. Pozostawił także dzieła krytyczne o muzyce, interesujące, z piśmiskim talentem napisane, pamiętniki. Naszych czytelników zachęcamy do zapoznania się z obszernym wyborem z pamiętnika Berlioza. Książka pt. „Hector Berlioz. Z pamiętników” ukazała się w przekładzie, wyborze i opracowaniu J. Popiela nakładem Polskiego Wydawnictwa Muzycznego, Kraków 1966.

FESTIWAL BALETÓW

20. VI. do 14. VII. br. IV Międzynarodowy Festiwal Baletów. W Festiwalu udział bra

W Monte Carlo odbędzie się w dniach od wezmą m. in. udział ba

lety: „New York City Ballet” i „Balet Ludowy Meksyku”. Niektóre spektakle odbędą się pod gołym niebem. Inne w sali operowej w Monte Carlo. W programie zespołu nowojorskiego znajdują się utwory Czajkowskiego, Glinki, Fauré, Bizeta, Strawińskiego i Xenakisa oraz seria występów baletowych poświęcona uczczeniu pamięci czterdziestej rocznicy śmierci wielkiego choreografa rosyjskiego Diagilewa. Aby specjalnie uczcić tego mistrza baletowego i twórcę słynnego baletu rosyjskiego, włączono w tym roku do Festiwalu recital fortepianowy „Ku pamięci Diagilewa” w wykonaniu Madeleine Malraux oraz koncert „Wspomnienie o Diagilewie” w wykonaniu orkiestry opery w Monte Carlo.

SZKOLNA TABLICA STENDHALA

● Dziełostwo Henri Beyle'a (Stendhala) nie było zbyt radosne. W swym dziele „Życie Henryka Brulard”

opartym na elementach auto-biograficznych, Stendhal przedstawił wiele z udręk jakich doświadczał będąc uczniem. M. in. dręczył go lek przed wejściem do tablicy szkolnej, która, jak pisał, była „wsparta, na wysokości pięciu stóp, na silnej ramie; wchodziło się do niej po trzech stopniach”. „Ja, wywoływany raz na miesiąc (...) przeprawałem dowód, bełkotalem wystraszony. Kiedy z kolei wyszedłem do tablicy przed sądziami, strach mój potęgował się...”. Staraniem paryskiego Cercle du Bibliophile ukazała się ostatnio nowa edycja „Dzieł wszystkich” Stendhala, pod redakcją znane go stendhalisty Victora de Litto. W wydaniu tym po-



miejszczono szkice i rysunki Stendhala jakie kreślił na marginesach rękopisów. M. in. w wydaniu pomieszczono rysunek owej okropnej dla autora „Życia Henryka Brulard” szkolnej tablicy z wizerunkiem jego samego przy niej.

LUDOWY MALARZ GRUZI — NIKO PIROSMANASZWILI

● Niko Pirosmanszwili, zwany także w skrócie Pirosmanim, utalentowany samouk, największy prymitywny malarz Gruzi, namalował około 2 tysiące obrazów, z których większość niestety zaginęła.

Około 100 obrazów wystawionych jest obecnie w Paryżu w Muzeum Sztuki Dekoracyjnej. Wystawa ta zorganizowana w ramach wymiany kulturalnej między ZSRR a Francją, wzbudziła ogromne zainteresowanie krytyki i publiczności. O życiu malarza niewiele wiemy choć pisał o nim Konstanty Paustowski w jednym z esejów w tomie pt. „Skok na południe”, a postać wędrownego malarza Lelo w powieści „Kolchida” ma cechy Pirosmanszwili.

Wiemy, że malarz urodził się w Kachecji (Gruzja) w roku 1860. Wcześniej umiera

mu ojciec, Niko wyjeżdża do Tyflisu (obecnie Tbilisi) gdzie pełni najrozmaitsze zawody. Jest pastuchem, potem pracuje na kolei jako konduktor, ale namalowawszy karykturę swego szefa zostaje wyrzucony z pracy. Zakłada własną mleczarnię zbierając jej ściany swymi obrazami przedstawiającymi krajoznictwo. Bo Niko Pirosmanszwili maluje ciągle i wszędzie i na czym się da. Na ścianach, na tekście, na płótnie, na ceramice, na cynkowej blasze. Maluje niemal wszystko co widzi: butelki, palety z winogronami, jaskami, owocami granatu jako wywieszki sklepików i piwnic w zajazdach, maluje portrety, krajoznictwo, sceny festynów, pieczenia chleba, uroczystości winobrania, zabawy w lesie mieszczuchów, sceny myśliwskie. Przez czterdzieści lat, ten utalentowany samouk wypracowuje sobie własny, oryginalny styl, a jego malarstwo tkwi głęboko korzeniami w tradycjach sztuki gruzińskiej,

kóra czerpała z bogactwa Wschodu, z dorobku artystów asyryjskich (plaskorzeźby), bizantyjskich (freski), perskich (sztuka dekoracyjna). Dziś niektórzy ze znaw

ców sztuki, malarstwo Pirosmanszwili przyrównują do twórczości takich mistrzów jak Giotto, Van Gogh i Rouault.



Lekarz jadący na ośle



Niko Pirosmanszwili: Scena rodzajowa. Winobranie.

Od NIEDZIELI do NIEDZIELI

KOLIBER? CO TO TAKIEGO?

MINI-PTASZEK Z ALASKI — NIEZNANE METODY DESCARTESA — DĄBROWSKA BŁĘ REKORDY — „DEKAMERON” W WYPISACH — JEST POLSKI „POKET”!

Kolibry to takie ptaszki, właściwie mini-ptaszki, bowiem najmniejsze mają sześć centymetrów długości. Osobliwością kolibrów jest także ich wspaniałe ubarwienie polegające na tzw. interferencyjności czyli na załamaniu się i rozszczepianiu promieni słonecznych w piórach owych mini-ptaków. Kolibry żyją w Andach, nad Labradorem i Alaską, nawet na Ziemi Ognistej...

W Polsce też mamy kolibry. Wprawdzie nie ptaki i nie bajecznie kolorowe, ale są one także bardzo małe, choć jest ich bardzo dużo. Oczywiście każdy już wie, że mowa o serii wydawniczej „Książki i Wiedzy” — serii miniaturowych książek, acy-dzieł literatury światowej i polskiej. Znany wszystkim te białe okładki, wystawione za szczybami tysięcy kiosków „Ruchu”. Niestety, zbyt często jest to znajomość tylko z widzenia.

A szkoda bo te małe zeszytiki kryją zawartość prawdzi-

wie wielką — opowiadania Maupassanta i Londona, Gorkiego i Szolochowa, Dąbrowskiej i Sienkiewicza... Czołową literaturę pięknej. O, sobicie martwi mnie tylko, że nie mogę zastosować porównania kolibra-ptaszka do kolibra-książki jeśli idzie o barwy. Ptak jest — jak się rzekło przebarwny — okładka książki jest co prawda bardzo estetyczna, ale niestety niemal dziewięć biała. Nie wiem czy to trudności techniczne naszego przemysłu poligraficznego, choć nie sądzę, bo przecież potrafimy już robić kolorowe lakierowane okładki. Więc może tu propozycja dla wydawcy — „więcej barwy! niech „koliber literacki” będzie choć w części przypominał swój prawór ornitologiczny. Nie piszę tego z pustoty lub dlatego, że lubię kolorowe obrazki. Tego zdania są również ludzie, którzy wzięli na swe barki dystrybucję i sprzedaż pol-

skiego Kolibra — czyli dyrektora „Ruchu”. Nie ma się czego wstydić. Na całym świecie najwybitniejsze dzieła literatury w tenich seriach — „poketach” sprzedaje się w „opakowaniu” kolorowym, krzyżującym i wręcz sensacyjnym. Nie jest to wcale chwyt poniżej pasa — dobrej literaturze nie zaszkodzi sensacyjna, komiksowa nawet okładka. Przeciwnie — może tylko pomóc w jej upowszechnianiu. Tego rodzaju sposoby pod publikę nie obce były i najgłośniejszym nazwiskom literackim. Boy-Zeleński na przykład swoje tłumaczenie „Rozprawy o me todzie” Descartesa zaopatrzył na okładce w napis: „Tylko dla dorosłych”. Oczywiście kupowały to pensjonarki jako owoc zakazany a starsi panowie, aby dowiedzieć się o jakich to nieznanymi „metodach” pisze ten sprofny Francuz. A znaleźli tam dysertację o dioptryce i metafizyce...

Myślę więc, że i w upowszechnianiu dobrej literatury za pomocą małego ptaszka nie trzeba bać się rozmachu, barwnej plamy i handlowych chwytów. Cel przecież jest szlachetny i szlachetny — popularyzacja literatury najwyższej próby. Ornitolodzy twierdzą, że żyje na świecie około 300 gatunków kolibra. Jeszcze rok, jeszcze dwa a z maszyn rotacyjnych Prasowych Zakładów Graficznych w Łodzi wyfrunie więcej „gatunków” tych książeczek niż nauka notuje ptaków. Aktualnie ma-

my już 63 pozycje. I to jakiel Jak dotąd w Łodzi i województwie rekordy bije Maria Dąbrowska, której „Najdalsza droga” trafiła do 23 tysięcy czytelników. Potem idzie „Stary” Faulknera — 20 tysięcy sprzedanych egzemplarzy. Następnie Gorki i jego „Makar Czudra” — 19 tysięcy egzemplarzy. Dalej „Odszczepienie” Londona i „Śniegi Kilimandżaro” Hemingwaya — po 18 tysięcy egzemplarzy... Od 11 do 15 tysięcy egzemplarzy sprzedano utworów Szolochowa, Sienkiewicza, Maupassanta, Krąszewskiego, Dickens... Rejestr jest zresztą długi — właściwie należałoby wymieniać co najmniej trzy czwarte owej ponad sześćdziesiątce tytułowej listy.

Koniec bieżącego foku będzie dla „Książki i Wiedzy”, Prasowych Zakładów Graficznych i „Ruchu” (który jest jedynym kolporterem Kolibra) — dniem jubileuszu. W końcu bieżącego roku bowiem ukaże się esetna pozycja tej serii.

Patrzę w plan wydawniczy na najbliższe miesiące i w głowie się kreśli. Jest Stendhal i Conrad, Merimes i Cervantes, Pirandello i Daudet, Balzac i Gide, Roland i Prus, France i Twain, Galsworthy i Diderot... Cała — dźwięcząca w spżu — czołówka światowej literatury. A nie zabrakło tu i literatury polskiej. Mam w planie „Wspomnienia starego sympatyka” Andrzeja Struga, mamy Krąszewskiego, Sza-

niawskiego, Sienkiewicza, Bartkiewicza, Nalkowską, Dygasińskiego. Przypomniano też noweliste Zygmunta Niewidzkiego i jego wczesną, bo z 1895 roku nowelę „Grzech”.

Jest także rodzynek, który zachowałem na koniec. W tym roku w serii Kolibra ukaże się — słuchajcie, słuchajcie — „Dekameron” Bocaccia! Oczywiście, nie cały — ot coś w rodzaju „wypisów” — tym razem bez lipy — „dozwolonych od lat 18”. Ale może przesadzam. Cóż bowiem znaczy poczciwa e. rotyka czternastowiecznego pisarza wobec inwazji seksu anno 1969? Ale przeczytać każdy chętnie przeczyta, choć może poniektóry powie: „Giovanni, ty nam nie truj, pisz o tym do „Swierszyczka...”. Ano, zobaczymy.

W każdym bądź razie jak na moje „widokowe” oko — to z wielu tenich i popularnych serii wydawniczych Kolibra właśnie ma największe szanse stać się polskim „poketem”. Jest tani — czerzy złote to przecież równowartość paczki „sportów” plus zapałki. Jest łatwo dostępny — statystyczny Polak odwiedza kioski „Ruchu” przynajmniej dwa razy dziennie. Prezentuje wreszcie Kolibra najszerzy i najbogatszy wachlarz autorów z samego szczytu literackiego Olimpu. Dobrze by więc było, aby ten egzotyyczny ptaszek żywiący się nektarem kwiatów zagościł na stałe w naszych domach.

JERZY WIDOK

Bez strachu

DZIEŃ NA LYSĘ GÓRZE

Oto stoję w biały dzień na Lysiej Górze, słońce i porywisty wiatr uderzają mnie po oczach. Kiedy pochylam głowę, widzę postawione przez turystów nie dopalki, pudełko po papierosach „Carmen”, strzępy łuskiego papieru. Kiedy podnoszę głowę, widzę dalekie morze, półwysep, bezdymne okryty. Wszystko na Lysiej Górze będące i z Lysiej Góry widziane podlega rygorom pracownego i trochę niedobrego świata. Lysa Góra wcale nie jest lisa — obfituje w kępy bujnej trawy, a łakome bydło chadza spokojnie po jej grzbiecie. Czy istnieje w ciągu roku ewa jedna odrębna noc, czy chociaż kiedykolwiek istniała. Świadczą o niej dzieła wybitnych pisarzy i muzyków, którzy wielokrotnie opisywali tę noc słowem i melodią. Czy rzeczywistość opisaną przez zmarłego Mistrza nocy była tylko rzeczywistością słów i akordów i znaczeń — czy nigdy nie istniała transcendentalna, opisywana przedmiotami jakimi udział w tej nocy dusz bezświatłych i bezdźwięcznych. Kto pierwszy brał udział, czy może zaprzagnął uczestniczyć w podobnej konferencji Kto pierwszy ją wymyślił, zaproponował termin (podobno każda pierwsza noc ostatniej dekady kwietnia) na użytek zbiorowych, uporczywych pragnień? Zyl ów twórcą nocy w logicznym i racjonalnym świecie — wartość wszystkich istniejących brył tego świata mierzyła się użytecznością. Twórca nocy zaprzagnął rzeczy szkodliwej i zbudował ją w sposób dostatecznie solidny by stała się przedmiotem wiary pokoleń. Przez jedną noc w ciągu roku, według tej wiary, następuje prezentacja upostaciowanego zła. Nie wiem czy na świecie istnieje tylko jedna autentyczna Lysa Góra z czarownicami i diabłem — jeden oryginalny i wiele martwych falsyfikatów, czy też wszystkie Lysy Góry są autentyczne, a może nie ma ani jednej prawdziwej Lysiej Góry? Jeżeli tak — to bardzo źle, zło jest nieuchwytnie, nigdy nie materializowane — wylegitymowane biologicznie, czy społeczną koniecznością. Gdyby istniało zło bezczasadne świat byłby dobry. Lysy Góry to piorunochrony zła i dlatego uwierzono w nie tak lapczywie. Twórca nocy pragnął powszechnego dobra świata, dla zła wyznaczył rezerwat — nocny festyn na szczytach gór. Ciągłe stoje na Lysiej Górze targany wiatrem, czy był tutaj ktoś kto myślał podobnie jak ja, czy ten, który palił carmeny, czy ten, który jadł tu śniadanie i opalał się latem. Wiem, że poprzedziły mnie czyste kroki, nie wiem czy poprzedziły mnie czyste myśli. W trawie nie ma nawet najmniejszego piekielnego ognika, wężę góry jest martwa. Może wszystkie czarownice spały na łożu na równinach i zginęły już pozorna wiedza. Szatan nie istnieje w sposób tak dobitny, że trudno wyżyć się odrobiny podejrzliwości w tej kwestii. Obok małe — pochylając dobry, rogaty łeb, zszczypte trawę krowa. Będę pil przemienioną w mleko trawę z Lysiej Góry — bowiem jest to krowa moich gospodarzy. Trwa głęboki dzień — dzień na Lysiej Górze — jest pełniejszy, bardziej trzeźwy niż gdziekolwiek indziej. Dzieje się to prawem myślowej możliwości zestawienia go z ową nocą. Jak bardzo jest potrzebne wyobrażenie tej nocy, żywe mniemanie o niej. W ukośnych promieniach słońca godzących pierwszą falę mroku schodzę zbroczem, każdy trącony kamień jest poznawalny i wymierny. Obejrzałem się za siebie. Na Lysiej Górze zobaczyłem rogły — są to oczywiście rogły krowy, która podniosła łeb i zastępyła w najgłębszym, uroczystym milczeniu.

BERNARD SZTAJNERT

NIEBO MOŻE POCZE- KAC

(dokończenie)

Ktoś zastukał do drzwi. Był to jego siostrzeniec, Andrzej, który jak zwykle przyszedł prosić o pieniądze. O pięćset dolarów.

— Powiedziałem ci już, że nie będę więcej pokrywał twoich długów. Chyba, że zaczniesz pracować, wówczas będę ci ewentualnie dopomagał.

— Jestem w rozpaczliwej sytuacji, wujku. Jeśli mi nie pomożesz, będę musiał sięgnąć do drastycznych środków.

Uwaga ta wzburzyła Aleksandra. Andrzej dziedziczył część jego majątku — był jego jedynym prawdziwym krewnym. A teraz gwałtownie potrzebował pieniędzy. Dobry motyw zbrodni.

Aleksander wyszedł do ogrodu, aby się trochę uspokoić. Ale zamiast samotności znalazł tam Harriego. Harry był ogrodnikiem, ale był też dawnym przestępcą.

— Słyszałem różne rzeczy — rozpoczął Harry rozmowę. — Różne rzeczy o pana książkach.

— A co takiego? — Podobno nie będą już wydawali pana książek.

Talbert widocznie się z czymś wygadał. Cała treść listu Feltona była pewnie ogólnie znana. Ariel, Arbustera, Andrzeja — wszyscy w końcu uznali, że jako pisarz jest skończony.

— A w czym to ciebie dotyczy, Harry? Boisz się, że stracisz pracę?

— Nie boję się o pracę, myślę tylko, jak wiele rzeczy opowiedział panu ze swego życia. Mógłby pan coś opowiedzieć mi.

— Cóż za pomysły! Odsiedziałeś swoje. Żadna policja się tobą nie interesuje. Ja im zresztą nic nie powiem. Czy mi wierzysz?

Jasne było, że nie wierzy. Harry odwrócił się i odszedł z twarzą ciemną jak gradowa chmura. Aleksander uprzytomnił sobie, że i tę scenę raz już przeżył. I Harry miał jakiś powód do popełnienia zbrodni.

Pisarz wrócił do swego gabinetu i zaczął rozmyślać. Okazało się nagle, że każdy wśród jego najbliższych

otoczenia miał motyw do popełnienia morderstwa.

Nagle odezwał się dzwonek telefonu.

— Tu Michał. Co słychać? Jakoś głos pana nie brzmi wesoło.

— Jestem załamany. Zdaje się, że każdy z moich domowników marzy o tym, a bym nie żył.

— Niech się pan tym nie przejmuj. Jeszcze jeden powód, aby pan chętnie powrócił do nas.

— I nic specjalnego nie znalazłem, żadnych śladów ani wskazówek.

— Musi pan dalej szukać. — Właśnie o to chodzi. W moich książkach — a tak że w życiu — na trop trafia się zawsze już po morderstwie.

— Musi pan sobie jakoś z tym poradzić. Trzeba zacząć do dwunastej.

Aleksander wypił szklankę whisky. Była już godzina czwarta. Niebo pokryło się ciemnymi chmurami. Odpowiedni klimat do popełnienia morderstwa... Stał przy oknie. I dzięki temu, zupełnie przypadkowo, zobaczył swoją żonę w miłosnym uścisku z młodym Arbusterelem. Pocałunek trwał długo. I nagle w sercu Aleksandra Arlingtona obudziło się nowe postanowienie. Miał w głowie gotowy plan działania. Wszedł do kuchni i zapowiedział kucharce, że na kolacji będzie pan Arbuster, Talbert i Andrzej. Do stołu miał podawać Harry.

Talberta zastał zajętego pakowaniem.

— Możesz odstawić tę walizkę. Wymówiłem ci wprawdzie, ale dopiero od jutra. Chcę, wieczorem trochę z tobą pogadać. Nie pożałujesz tego.

Tak samo zaprosił na kolację Andrzeja i Arbustera, co wzbudziło zdumienie Ariela.

Kolacja była wyznaczona na 7.30. Harry podawał potrawę w ponurym milczeniu.

Nikt, prócz Aleksandra, nie miał apetytu. Wszyscy mieli zaniepokojone miny. Ariel ukradkiem spoglądał na Arbustera. Twarz Talberta wyglądała jak maska. Wszyscy obserwowali Aleksandra.

Kolacja skończyła się o 9-tej.

— Teraz pójdziemy do mego gabinetu — zaproponował Aleksander. — Urządźmy sobie coś w rodzaju pożegnanej fety. Zaraz tam przyjdę, muszę tylko coś załatwić w moim pokoju.

Wyciągnął walizkę i zaczął pakować do niej różne drobiazgi, gdy nagle zadzwonił telefon.

— Mówi Michał. Nadzwyczajnie zmienił się pana nastrój w ciągu ostatnich kilku godzin. Dokąd wybieracie się pan z tą walizką?

— Chcę pojechać w dalszą podróż.

— Tu u nas nie potrzebuje pan żadnej extra bielizny. Zaopatrzmy pana we wszystko — w głosie archanioła brzmiał jakby niepokój.

Aleksander uśmiechnął się i pakował dalej. Do portielu włożył całą gotówkę, jaką zwykle trzymał w sejfie. Do kieszeni wsunął rewolwer.

Dopiero koło 11-ej zszedł do swoich gości. Widać było, że wszyscy są zdenerwowani do ostatnich granic.

— Czy zauważyliście coś dziwnego dzisiaj, to jest w dniu, który skonczy się za godzinę i dziesięć minut? — spytał Aleksander.

— Nie wiem o czym mówisz — odezwała się Ariel. Ubrana była w głęboko dekoltowaną wieczorową suknię, która oblepiała jej smukłe ciało jak skóra.

— Usiądź kochanie i nie denerwuj się. Ty na pewno coś zauważyłaś. Na co kobieca intuicja?

— Co miałam zauważyć?

— Czy nie czujecie, że to wszystko, co się dzisiaj dzieje, jest wam w jakiś sposób znajome? Ze mówiliście i robiliście te same rzeczy już kiedyś... A mianowicie wczoraj wieczorem, tej nocy, gdy zostałem zamordowany.

Patrzyli na niego z wyrazem osłupienia. Opowiedział im więc swoje przeżycia, umowę z archaniołem, swoje przypuszczenia.

— Wujku — krzyknął Andrzej — chyba kompletnie zwariowałeś. Powinieneś iść do psychiatry.

— To w ogóle dom wariatów — Arbuster wstał z krzesła, gdy akurat zadzwonił telefon.

— Co pan wyprawia, Arlington? — odezwał się głos archanioła.

— Nic takiego. Stosuję stare chwytły, znane z różnych kryminalnych książek. Zwrócił się z powrotem do swych gości.

— Właśnie mi przypomniano, że czas szybko ucieka. Jest wam tutaj pięćdziesiąt i każde z was ma powód do popełnienia zbrodni. Oto tu na biurku leży mój nóż do papieru. Powinienem zdjąć się siedząc na fotelu. I dokładnie o 12-ej jedno z was weźmie ten nóż i przebije mi serce. No, ale ponieważ wiem co mnie czeka, więc oczywiście nie usnę. Wprowadzę pewne drobne poprawki. Muszę dotrzymać umowy z Michałem, ale nie chcę zostać zamordowany. Po północy będę wolnym człowiekiem i będę mógł żyć wiecznie. Nie będę wam nawet straszyl rewolwerem. Zbliża się godzina zbrodni. Jesteśmy tu zebrani wszyscy razem. Jedno z was jest mordercą. O 12-ej możecie dokonać zbrodni, ale będzie

nie pisał. Ja też nie, chociaż wiedziałem o zarządzeniu. Na szczęście zostało ono podobno odwołane — i dopiero teraz Hamilton wszem wobec ogłosił druzgocącą a dowcipną krytykę niefortunnego aktu. Czy to brak odwagi Hamiltona, czy może czynnik decydujący o dopuszczeniu do druku jego felietonów uznały w swoim czasie, że każde zarządzenie każdej władzy jest tabu i można je publicznie zaatakować tylko ex post, po zdjęciu z alicja?

Nie mamy możliwości śledzenia całej dyskusji sąsiadów nad Dunaju, notatka w „Kulturze” daje nam obraz zdań dość ze sobą skłóconych. Ten sam, cytowany w notatce, artykuł Tibora Petho raz postuluje „uruchomienie licznych i różnorodnych kanałów informacji, niezależnych od instancji państwowych, rad narodowych i związkowych”, w innym miejscu — przeciwdziałanie informacji i spekulowaniu nimi drogą skupiania ich i rozpowszechniania poprzez centralny „Bank Informacji”, a więc właśnie jedyny kanał pomiędzy „licznymi źródłami” a masą odbiorców.

Bank, a zwłaszcza centralny bank, to już wielkie słowo i wielka potęga. Bank przesądza nieraz o gospodarce wielkich koncernów. Bank informacji przesądzi na pewno o stopniu i poziomie poinformowania społeczeństwa. Encyklopedia to zaledwie maleńki kantorek, ale złożono w nim wiele ciutanych kapitałów i włączono je w obrót, niech procentują. „Mała Encyklopedia Muzyki” (Wydanie II) wcale nie jest mała, zawiera wiele tysięcy haseł podanych maleńkim, gęstym druczkiem, skomentowanych gruntownie przez najlepszych fachow-

ców. Jest w niej Sława Przybylska i Irena Santor, a w zbiorczym haśle „Piosenkarstwo” odnotowano nazwiska Niemena, Kunickiej i Łazuki. Nie odnotowano bardzo zdolnego kompozytora i dyrygenta, dobrze znanego szerokiemu światu, Andrzeja Panulnika, i równie zdolnego kompozytora, nauczyciela wielu naszych młodszych sław muzycznych, Romana Palestra. Czy dlatego, że obaj są na emigracji? Ten fakt nie przeszkadzał jakoś ani wydawcom Małej Encyklopedii Powszechnej, ani Hanuszewskiej w malutkim leksykonie „Tysiąc Kompozytorów”, ani profesorowi Reissowi w książce „Najpiękniejsza jest muzyka polska”. Fakt ten nie przeszkadza nawet tej samej Małej Encyklopedii Muzyki w uwzględnieniu jeszcze innego emigranta, Michała Kondrackiego. Więc dlaczego Kondracki tak, a Palester nie, dlaczego ani słowa o Z. Mycielskim wieloletnim redaktorze „Ruchu Muzycznego”, kompozytorze, działaczu organizacyjnym, o którym wszystkie wyżej wymienione publikacje (oprócz najbardziej lachowej Małej Encyklopedii Muzyki) uznają za potrzebne pisać, omawiać, zamieszczać zdjęcia?

Podobnych pytań nasuwa się więcej, będą pewnie stawiane i dyskutowane. Ba, jeżeli mają osiągnąć jakiś skutek, to chyba nie byłoby dobrze, gdyby je postawiono za dziesięć lat, po ogłoszeniu nowego wydania Małej Encyklopedii Muzyki. Krytykowanie obecnego wydania będzie wówczas popisem retoryki. Po co komu retoryczne felietony?

— Witamy, panie Arlington. I jakich pan punktualny! Zadowolony pan z wszystkich go?

— Zostałem ponownie zamordowany — odpowiedział Aleksander zapadając głęboko w złoty fotel naprzeciw archanioła.

— No naturalnie!

— A kto to zrobił?

— No przecież wrócił pan na ziemię po to, aby znaleźć mordercę — roześmiał się archanioł. I zadaje mi pan znów to samo pytanie. Czy ma pan zamiar powtórzyć eksperyment po raz trzeci?

— Nie, dziękuję uprzejmie. Ale jednak nie będę tutaj szczęśliwy.

Nie wracajmy już do tego tematu — powiedział spiesznie archanioł. — Omówimy wspólnie tę sprawę. Niech się pan wczuje w sytuację mordercy. Czy gdy Arbuster zgasił światło, pan jako morderca podszedłby do biurka?

— Nie. Bałbym się, że ktoś nagle włączy światło.

— A właśnie. Duże ryzyko. A w jakim przypadku

zadzwonił telefon... — Arlington, oszukujesz.

— Wcale nie. To jedyny sposób, aby złapać mordercę. A jeżeli nikt nie zdecydował się na zamordowanie mnie w pełnym świetle przy czterech świadkach, to już nie będzie moja wina.

— Mądrze obmyślane, ale jednak nie dość mądrze. Zapominasz, że morderca też ma wyznaczony termin. Pewnie więc ma też jakiś nowy plan.

Brakowało trzech minut do północy.

Nagle wstał Arbuster i cichym krokiem przeszedł przez pokój.

— We wszystkim masz rację — powiedział. — Zapomniałem tylko o jednym: morderstwo można popełnić w ciemnościach — jedynym ruchem przekręcił wyłącznik. Aleksander poczuł, jak ktoś przyciska jego głowę do blatu biurka. Jakaś ręka szukała noża do papieru.

— Nie, dziękuję uprzejmie. Ale jednak nie będę tutaj szczęśliwy.

Nie wracajmy już do tego tematu — powiedział spiesznie archanioł. — Omówimy wspólnie tę sprawę. Niech się pan wczuje w sytuację mordercy. Czy gdy Arbuster zgasił światło, pan jako morderca podszedłby do biurka?

— Nie. Bałbym się, że ktoś nagle włączy światło.

— A właśnie. Duże ryzyko. A w jakim przypadku

zadzwonił telefon... — Arlington, oszukujesz.

— Wcale nie. To jedyny sposób, aby złapać mordercę. A jeżeli nikt nie zdecydował się na zamordowanie mnie w pełnym świetle przy czterech świadkach, to już nie będzie moja wina.

— Mądrze obmyślane, ale jednak nie dość mądrze. Zapominasz, że morderca też ma wyznaczony termin. Pewnie więc ma też jakiś nowy plan.

Brakowało trzech minut do północy.

Nagle wstał Arbuster i cichym krokiem przeszedł przez pokój.

— We wszystkim masz rację — powiedział. — Zapomniałem tylko o jednym: morderstwo można popełnić w ciemnościach — jedynym ruchem przekręcił wyłącznik. Aleksander poczuł, jak ktoś przyciska jego głowę do blatu biurka. Jakaś ręka szukała noża do papieru.

— Nie, dziękuję uprzejmie. Ale jednak nie będę tutaj szczęśliwy.

Nie wracajmy już do tego tematu — powiedział spiesznie archanioł. — Omówimy wspólnie tę sprawę. Niech się pan wczuje w sytuację mordercy. Czy gdy Arbuster zgasił światło, pan jako morderca podszedłby do biurka?

— Nie. Bałbym się, że ktoś nagle włączy światło.

— A właśnie. Duże ryzyko. A w jakim przypadku



Fot. W. Parys

na to czterech świadków. Myślę, że trochę was to zahamuje. A ja będę w porządku wobec Michała, bo jeżeli czyn nie zostanie dokonany, będzie to wasza wina, a nie moja. Minutę po 12-jej wyjdę z tego domu i zniknę z waszego życia.

Nawet nie bardzo zabolę...

— Witamy, panie Arlington. I jakich pan punktualny! Zadowolony pan z wszystkich go?

— Zostałem ponownie zamordowany — odpowiedział Aleksander zapadając głęboko w złoty fotel naprzeciw archanioła.

— No naturalnie!

— A kto to zrobił?

— No przecież wrócił pan na ziemię po to, aby znaleźć mordercę — roześmiał się archanioł. I zadaje mi pan znów to samo pytanie. Czy ma pan zamiar powtórzyć eksperyment po raz trzeci?

— Nie, dziękuję uprzejmie. Ale jednak nie będę tutaj szczęśliwy.

Nie wracajmy już do tego tematu — powiedział spiesznie archanioł. — Omówimy wspólnie tę sprawę. Niech się pan wczuje w sytuację mordercy. Czy gdy Arbuster zgasił światło, pan jako morderca podszedłby do biurka?

— Nie. Bałbym się, że ktoś nagle włączy światło.

— A właśnie. Duże ryzyko. A w jakim przypadku

zadzwonił telefon... — Arlington, oszukujesz.

— Wcale nie. To jedyny sposób, aby złapać mordercę. A jeżeli nikt nie zdecydował się na zamordowanie mnie w pełnym świetle przy czterech świadkach, to już nie będzie moja wina.

— Mądrze obmyślane, ale jednak nie dość mądrze. Zapominasz, że morderca też ma wyznaczony termin. Pewnie więc ma też jakiś nowy plan.

Brakowało trzech minut do północy.

Nagle wstał Arbuster i cichym krokiem przeszedł przez pokój.

— We wszystkim masz rację — powiedział. — Zapomniałem tylko o jednym: morderstwo można popełnić w ciemnościach — jedynym ruchem przekręcił wyłącznik. Aleksander poczuł, jak ktoś przyciska jego głowę do blatu biurka. Jakaś ręka szukała noża do papieru.

— Nie, dziękuję uprzejmie. Ale jednak nie będę tutaj szczęśliwy.

Nie wracajmy już do tego tematu — powiedział spiesznie archanioł. — Omówimy wspólnie tę sprawę. Niech się pan wczuje w sytuację mordercy. Czy gdy Arbuster zgasił światło, pan jako morderca podszedłby do biurka?

— Nie. Bałbym się, że ktoś nagle włączy światło.

— A właśnie. Duże ryzyko. A w jakim przypadku



Lewym okiem

ŁAZUKA I KONDRACKI

Jak wynika z notatki w „Kulturze” z 9. III. br., na Węgrzech toczy się publiczna dyskusja o tym, co należałoby ulepszyć w systemie bieżącego informowania społeczeństwa, przy czym informację traktuje się szeroko, z komentarzem krytycznym włącznie.

Programy teatrów satyrycznych i wypowiedzi prasowe powinny być śmiałe — pisze Tibor Petho w miesięczniku dziennikarstwa węgierskiego. „Niestety — pisze — prasa ciągle jeszcze potrzebuje zastrzyków odwagi”.

Przed pół rokiem ukazało się u nas zarządzenie Ministerstwa Handlu Wewnętrznego zabraniające prywatnym antykwariatom kupowania i sprzedawania książek polskich, wydanych przed 1946 rokiem. Zarządzenie przedziwne, rujnujące ostatnich Mohikanów prywatnego handlu książką, dające pierwszeństwo na rynku książce obecnej przed polską, eliminujące z obrotu stare, cenne wydania klasyków na rzecz bieżącego kryminału. Nikt jak Polska długa i szeroka słowa

CWIEK